Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 38 Niedziela, dnia 18 września 1927 roku Rok III-ci

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P. K. O. Nr. 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

MAT.

PANU PREZYDENTOWI Rzeczypospolitej został przedstawiony wniosek poselski, żądający zwołania nadzwyczajnej sesji Sejmu. Konstytucja przewiduje postawienie takiego wniosku i postanawia, że Sejm powinien być zwołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej przed upływem 14 dni od daty złożenia takiego wniosku. Krótki ten termin, pozostawiony Prezydentowi Rzeczypospolitej na zwołanie Sejmu wskazuje, że zgodnie z duchem konstytucji wniosek taki powinien być postawiony **tylko w wypadkach ważnych,** niecierpiących zwłoki, gdy pierwszorzędne interesy państwa w grę wchodzą i interwencja sejmu zdolna jest **odwrócić jakieś niebezpieczeństwo.**

Prezydent Rzeczypospolitej spełnił swój konstytucyjny obowiązek: sejm został zwołany na nadzwyczajną sesję na dzień 13 września. Nikt ani na chwilę nie wątpił, że dnia 13 a najdalej 14 września sejm się zbierze na pierwsze posiedzenie nadzwyczajnej sesji, na którem wnioskodawcy **wskażą i umotywują przyczyny,** które skłoniły ich do postawienia wniosku, poczem ustalony będzie **porządek obrad** sesji nadzwyczajnej.

Minął 13 i 14 września i nietylko, że sejm się nie zebrał, ale nawet nikt nie umiał powiedzieć, kiedy wogóle się zbierze. W chwili, gdy „Prawda" idzie pod prasę niezupełnie urzędowe informacje podają, że data pierwszego posiedzenia ustalona została na 19-go września. Przekonywujących motywów wniosku o zwołanie nadzwyczajnej sesji dotychczas nie uważano za stosowne ujawnić.
Takiego traktowania najważniejszych postanowień konstytucji przez sejm poważnem nazwać nie można. Widocznie bowiem sprawy, które skłoniły sejm do złożenia p. Prezydentowi Rzeczypospolitej wniosku o zwołanie nadzwyczajnej sesji **nie muszą być tak bardzo pilne,** jeśli spokojnie można o cały tydzień przedłużyć termin konstytucyjny — nie muszą być tak bardzo ważne, jeśli dotychczas nikt nie umie powiedzieć o co właściwie chodzi i z której strony grozi państwu to wielkie niebezpieczeństwo, które tylko „natychmiastowa" interwencja sejmu uchylić może. Przeciwnie, coraz wyraźniej widać, że wogóle żadnego niebezpieczeństwa niema i że tak samo, jak przeczekano tydzień, można było zaczekać **do zwołania sesji zwyczajnej,** przewidzianej przez konstytucję na październik.

O cóż więc chodziło wnioskodawcom? Trudno jest odpowiedzieć na takie pytanie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa **oni sami nie wiedzą,** czego właściwie chcieli. Wiadomości, przenikające z kuluarów sejmowych i lokali klubowych, potwierdzają takie przypuszczenie. Według tych wiadomości dopiero teraz odbywają się tam narady nad tem, co właściwie począć z tą „nadzwyczajną" sesją, czem zapełnić tych kilka posiedzeń, które jednak odbyć trzeba.

Jeśli nawet wnioskodawcy pojmowali swój wniosek jako swego rodzaju demonstrację przeciw nagłemu zamknięciu sesji poprzedniej i jeśli nawet, podpisując wniosek, mieli zamiar zaraz na pierwszem posiedzeniu podjąć prace sejmowe w tem miejscu, w którem przerwane zostały przez dekret Prezydenta Rzeczypospolitej, zamykający poprzednią sesję, to w międzyczasie w zamierzeniach tych wiele musiało się zmienić. Słychać bowiem, że istnieje nawet w łonie wnioskodawców tendencja, aby spraw, które musiałyby nanowo zaognić stosunek pomiędzy rządem a sejmem nie poruszać, przynajmniej na pierwszych posiedzeniach. I tak też prawdopodobnie będzie. Poza okolicznościowymi interpelacjami nic poważniejszego na pierwszem posiedzeniu sejmu się nie znajdzie.

* * *

ODNOSI SIĘ wrażenie, że sejm swoją taktyką opozycyjną wobec rządu zapędził się sam w wązką uliczkę bez wyjścia. Zdradza przynajmniej wyraźne objawy zdenerwowania, charakteryzujące taką sytuację. W rozgrywce pomiędzy rządem a sejmem zbliżamy się **do nieuniknionego mata,** którego postawi rząd. Nie do jakiegoś gwałtu lub do aktu przemocy, ale do **mata, do porażki.** Żądanie zwołania nadzwyczajnej sesji było ze strony sejmu pociągnięciem z rodzaju tych, które czyni gracz, tracący nietylko wiarę w swoje zwycięstwo, ale nadzieję salwowania się z honorem. Użyto najcięższej broni — bowiem żądanie zwołania sesji nadzwyczajnej **w przededniu prawie przewidzianej w konstytucji sesji zwyczajnej,** musiało wywołać wrażenie, że chodzi doprawdy o jakieś nadzwyczajne powody, o sprawy najdonioślejszego znaczenia — a okaże się, że dla broni tej niema amunicji. Sytuacja istotnie nie do pozazdroszczenia.

Z natury rzeczy zdenerwowanie czyni dalsze postępy. I tak kwestją pierwszorzędnej wagi uczyniono różnicę poglądów Prezydenta Rzeczypospolitej i Marszałków sejmu i senatu na interpretację postanowienia konstytucji co do terminu zwołania nadzwyczajnej sesji senatu. Rzecz, która w razie istotnej potrzeby zwołania nadzwyczajnej sesji, stanowiłaby drobny szczegółik — przedmiot interpelacji a następnie krótkiej dyskusji w komisji konstytucyjnej — uczyniono przedmiotem **uroczystego demarche pp. Marszałków sejmu i senatu u Prezydenta Rzeczypospolitej.** Spodziewać się należy, że takich objawów zdenerwowania będzie jeszcze więcej.

Wszystko to prestiżu sejmu w społeczeństwie nie podniesie, przeciwnie, sejm czyni wszystko, aby obalić zarzuty, że to rząd pracuje nad podkopaniem jego powagi i zdyskredytowaniem idei parlamentaryzmu. Dyskredytuje się bowiem sam o wiele skuteczniej, niżby uczynić to potrafił największy jego przeciwnik. Sam zapędza się w niesławnego mata.

* * *

NA SZKODĘ PAŃSTWA.

TRUDNO POJĄĆ w jakim celu prasa, reprezentująca politykę Narodowej Demokracji i zbliżonych do niej innych partyj politycznych, wyraźnie bagatelizuje, jeśli już nie wykpiwa akcji pokojowej, podjętej przez rząd polski na terenie Ligi Narodów. Możnaby taki stosunek do tej akcji zrozumieć, gdyby te ugrupowania reprezentowały polską ideologję imperjalistyczną, polskie tendencje ekspansyjne, podobnie jak nacjonaliści niemieccy reprezentują dążność do rewanżu za klęskę w wojnie światow., dążność do odzyskania siłą zbrojną utraconych terytorjów dawnego cesarstwa niemieckiego. U nas tak się jednak złożyło, że obóz nacjonalistyczny jest obozem najskrajniejszejszego pacyfizmu. Z żadnej bowiem strony nie pada tyle przestróg przed **„awanturami"** ukraińskiemi, czy litewskiemi, nikt w tak jaskrawych barwach nie maluje niebezpieczeństwa i katastrof, jakie spadłyby na Polskę w razie sprowokowania jakiegokolwiek konfliktu wojennego, jak czynią to nasi politycy z obozu narodowego, nikt nie podnosi takich alarmów z powodu najdrobniejszej wzmianki czy pogłoski o jakiemś wystąpieniu, przypominającem w najlżejszym stopniu „brzęk szabelki", jak prasa tego obozu. Kto jak kto, ale właśnie ta prasa powinna z entuzjazmem powitać wystąpienie ministra Sokala w Genewie, idące wyraźnie w kierunku **uniemożliwienia wszelkich konfliktów zbrojnych.** Bo przecież nawet odrzucenie wniosku polskiego stwarza dla jego inicjatorów **moralny obowiązek** prowadzenia polityki pokojowej. A że autorem propozycji polskiej był Marszałek Piłsudski — politycy narodowi mogą głęboko z ulgą odetchnąć: wyprawy na Kijów, ani marszu na Kowno nie będzie.

Mamy więc przed sobą klasyczny przykład opozycji bezwzględnej, nie biorącej pod uwagę nietylko logicznych konsekwencyj własnego stanowiska, ale nawet interesów własnego państwa. Klasyczny przykład opozycji zapamiętałej, bezpłodnej a zatem szkodliwej i burzycielskiej.

Pokojowa propozycja Polski, przedłożona Zgromadzeniu Ligi Narodów, jest może nierealna, jest zapewne przedwczesna w obecnych warunkach międzynarodowych, ale mimo to **powinna znaleźć manifestacyjne poparcie całego społeczeństwa polskiego.** Jest bowiem krokiem w polityce zagranicznej, który wprowadza Polskę na właściwe stanowisko międzynarodowe, pociągnięciem, przy pomocy którego kładziemy także i nasze ręce na niciach stosunków międzynardowych, które dotychczas przeważnie nami kierowały.

* * *

LIGA NARODÓW nie jest tem czem być powinna — daleką jest od tego ideału, który przyświecał Wilsonowi — jest naprawdę siedliskiem intrygi międzynarodowej, jest także naprawdę tylko ekspozyturą londyńskiej Downing-Street, na której utrzymanie składa się kilkadziesiąt narodów. Być też może, i jest tak zapewne, że lepiej charakteryzują jej działalność autorzy sensacyjnych o kryminalnem zabarwieniu powieści i romansów niż depesze i sprawozdania z jej obrad, niemniej jednak Liga Narodów istnieje i jeśli jest narzędziem wpływów i polityki wielkich mocarstw, to — kto wie — czy nie jest równocześnie także i **piętą achillesową tych mocarstw,** kto może zaręczyć, czy „nierealny" wniosek z należytym naciskiem złożony w Genewie, nie trafia ostrą strzałą gdzieindziej?

REAKCJA, jaką wywołało złożenie polskiej propozycji pokojowej w Genewie, powinna głęboko zastanowić każdego polityka polskiego, któremu na sercu leży powaga własnego państwa nazewnątrz i który bolał nad tem, że byliśmy zawsze tylko popychadłem na arenie międzynarodowej, że częściej zasiadaliśmy na ławie oskarżonych niż za stołem sędziowskim. **Cała sesja wrześniowa Zgromadzenia Ligi stoi pod znakiem wniosku polskiego** — inne sprawy zeszły na plan drugi, a już zupełnie zmalały i zepchnięte zostały w cień wszystkie przygotowane i wytoczone przeciw nam oskarżenia i zażalenia. I jeśli nawet gdzieniegdzie w Londynie, Paryżu, Berlinie czy w Rzymie usiłuje się dość lekko traktować wystąpienie Polski, to nie trzeba lupy, aby spostrzec, że pragnie się w ten sposób zamaskować zakłopotanie i niepokój.

Polska prowadzi politykę pokojową i pragnie pokoju. Jest członkiem Ligi Narodów i ma prawo domagać się głośno, aby ta instytucja spełniła swoje pokojowe posłannictwo. Ma obowiązek wskazać na to, że maluczko, a Liga Narodów stanie się instytucją, która **zamiast zapobiegać wojnom** i konfliktom międzynarodowym, **udzielać będzie odpustów** za prowokację wojenną i przelew krwi.

Rząd polski za żadną cenę nie powinien zejść ze swego stanowiska orędownika pokoju na terenie Ligi Narodów, bo **tylko w tej roli zajmie i utrzyma należne Polsce stanowisko międzynarodowe.**

Bagatelizowanie tej akcji rządu i natrząsanie się z niej w łonie własnego społeczeństwa jest działaniem na szkodę państwa.

* * *

SPRAWA GENERAŁA ZAGÓRSKIEGO.

LICZNE OZNAKI wskazują na to, że w najbliższych dniach zagadka zniknięcia gen. Zagórskiego będzie wyświetlona. Pewnem jest dzisiaj już to, że generał Zagórski żyje i że wszelkie pogłoski, którymi niepokojono opinję publiczną przez kilka tygodni, wszelkie pogłoski, idące w tym kierunku, jakoby generał Zagórski padł ofiarą jakiegoś spisku, pogłoski, które poruszyły do żywego nawet najbardziej zrównoważonych i przywykłych do logicznego myślenia ludzi, były z palca wyssane i nie były niczem innem jak tylko bardzo wdzięcznym okolicznościowym sposobem walki opozycyjnej.

Należałoby życzyć, aby komunikat urzędowy o wynikach śledztwa w tej sprawie ukazał się jaknajrychlej i by tym razem był bez luk, nawet w tych miejscach, w których może przyjdzie się przyznać do pewnych uchybień formalnych.

Pierwszą kategoryczną wiadomość o tem, że generał Zagórski żyje, przyniosła warszawska „Rzeczpospolita", dziennik, który wykazywał najwięcej zainteresowania sprawą zniknięcia generała i niejedną podał wiadomość, mogącą wywołać silne zaniepokojenie. Jeżeli więc dziennik ten poręcza słowem honoru swego wydawnictwa, że miejsce pobytu generała Zagórskiego wiadome jest wojskowym władzom śledczym, to trzeba mu wierzyć. Zresztą władze te tak jakby potwierdzały tę wiadomość.

Dla nas od pierwszej chwili wszelkie wersje o jakimkolwiek gwałcie na osobie generała Zagórskiego nie wytrzymywały krytyki. Rządu nie można czynić odpowiedzialnym ani za to, że „w biały dzień na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie" zginął generał armji polskiej, ani za to, że śledztwo nie posuwa się w tempie odpowiadającem zniecierpliwieniu nietyle publiczności, ile partyj opozycyjnych i ich prasy. Generał w cywilnem ubraniu ginie w tłumie tak samo jak każdy inny „cywil" i jeśli chce zniknąć, to bardzo łatwo może to uczynić. Służba śledcza nawet cywilna pozostawia u nas wiele do życzenia, cóż dopiero wojskowa, rozporządzająca o wiele niedoskonalszym aparatem środków. Jeżeli dzisiaj już wojskowym władzom śledczym znane jest miejsce pobytu generała, to opieszałości bynajmniej zarzucać im nie można.

Przedwczesne rozdmuchanie sprawy zniknięcia generała Zagórskiego do rozmiarów jakiejś afery przez prasę stronnictw opozycyjnych przypisać należy temu, że u nas częściej niż gdzieindziej zgóry uważa się przeciwnika za głupszego od siebie i zdolnego do popełnienia największego nonsensu. A to się później zawsze mści.

* * *

LOTY PONAD OCEANEM.

PO SZCZĘŚLIWYCH przelotach Lindbergha, Byrda, Chamberlina z Nowego Yorku do Francji, względnie Niemiec, rozpoczęła się serja prób nieudałych i katastrof. Zrozumiałe są przeto głosy, domagające się ogłoszenia zakazu dalszych przelotów nad Oceanem Atlantyckim.

W dzisiejszym stanie rzeczy dalsze próby przelotu z Ameryki na kontynent europejski lub z Europy do Stanów Zjednoczonych są najzupełniej bezcelową pogonią za rekordami, bezcelowem ryzykowaniem życia ludzkiego. Lot Lindbergha dostarczył przekonywującego dowodu, że przelot taki jest możliwy przy użyciu dzisiejszych aparatów lotniczych i dzisiejszych motorów. Ale dostarczył też dowodu, że każdy samolot, który puści się w taką drogę, nie jest niczem innym jak tylko *latającym zbiornikiem benzyny,* że zatem narazie przynajmniej o zorganizowaniu powietrznego transportu pocztowego i pasażerskiego mowy być nie może. Samolot, wybierając się w drogę przez Ocean Atlantycki, zabierać musi tyle benzyny i smaru, ile wogóle ciężaru unieść jest

CZYNNIKI POLITYKI PANSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

zdolny. Osoba pilota stanowi już to przysłowiowe jajko, które przeciążyć jest w stanie furę. Motor samolotu wyzyskany jest w czasie przelotu do ostateczn. granicy swych zdolności, nie pozostaje już żadna rezerwa na wypadek niebezpieczeństwa. Każdy przelot jest przeto loterją: jeśli motor wytrzyma największy wysiłek, do jakiego jest zdolny, przez okrągło trzydzieści godzin lotu nad oceanem, bez jednej chwili pauzy i folgi, to przelot się uda, jeśli zawiedzie, to katastrofa.

To są doświadczenia zebrane w czasie szczęśliwych przelotów. Z doświadczeń tych technika lotnicza musi teraz wyciągnąć swoje wnioski, które iść muszą w dwuch kierunkach: w kierunku udoskonaleń motoru przez zwiększenie granicy jego największej wydajności, tak aby, wyzyskując ją najwyżej do połowy, można było osiągnąć siłę i szybkość, którą daje dzisiaj przy pełnem wyzyskaniu, oraz w kierunku zmniejszenia ciężaru lub ilości paliwa, potrzebnego na przelot, do tego stopnia, by poza ładunkiem paliwa pozostało jeszcze na samolocie tyle niewyzyskanego obciążenia, że spożytkowanie go do celów transportowych dałoby korzyści, równoważące nakład kosztu przelotu.

Gdy w tej dziedzinie zostaną dokonane jakieś ważniejsze wynalazki, czy odkrycia, będzie znowu czas na próby, których celem jest przecież nie polowanie na rekord, lecz *ugruntowanie zwycięstwa człowieka nad przestrzenią* w celu wykorzystania go dla dobra ludzkości.

Zadaniem na najbliższą przyszłość jest zatem nie zdobywanie nowych rekordów, lecz wytężona praca nad udoskonaleniem samolotu. Jeśli bowiem *pomysł sztucznych wysp* na oceanie, na szlaku pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi nie nadaje się do urzeczywistnienia, to bez udoskonalenia motoru lotniczego względnie bez wynalezienia wydajniejszego paliwa niż benzyna, wszelkie próby przelotu nad oceanem pozbawione będą wartości praktycznej i stanowić będą tylko sukces o charakterze raczej sportowym, będą manifestacją szaleńczej odwagi, bo wypływającej bardzo często z pobudek próżności. A takim manifestacjom winny być postawione granice.

Lot Lindbergha dowiódł, że jesteśmy na dobrej drodze do nowego zwycięstwa nad przestrzenią, ale że bardzo wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, zanim to nowe zwycięstwo będzie całkowitem.

Nowy duch

Nadużywanie haseł gospodarczych do agitacji wyborczej partyjnej.

Zbliżające się wybory do Rady Miejskiej m. Łodzi wytwarzają objawy niezmiernie symptomatyczne, których doniosłość wybiega daleko poza zakres interesów lokalnych.

Gdy się czyta nazwy i odezwy powstających Komitetów wyborczych, uderza w nich przedewszystkiem staranne ukrywanie barw partyjnych pod szeroko rozwijanym sztandarem gospodarczym.

Jesteśmy więc świadkami odwrotnej w porównaniu z dotychczasową praktyki wyborczej. Jeżeli bowiem dotąd wprost przeciwnie poszczególne jednostki gospodarcze chyłkiem przemycały się do ciał samorządowych pod flagą partyjną, to teraz naodwrót, liczne rzesze partyjników szukają wejścia przez wrota, nad któremi widnieje szyld gospodarczy. Jest to oczywiście jeszcze maskarada, która nie upoważnia do dopatrywania się w tem już ostatecznego triumfu twórczej myśli gospodarczej nad destrukcyjną robotą wojującego partyjnictwa. W każdym razie jednak czołowi mężowie partyj widocznie doskonale już uświadamiają sobie, że nie mają już za sobą tych wielkich mas, które stanowiły ich oparcie dawniej, i dlatego wszyscy bez wyjątku głoszą hasło zerwania z partyjnictwem. Proklamowane wprawdzie już od maja r. z., było ono dotąd jednak raczej teorją i szyldem tylko, aniżeli faktycznem, praktycznie stosowanem wyznaniem wiary. Obecnie jednak poraz pierwszy zdaje się nabierać rumieńców prawdziwego życia.

Barometr nastrojów społecznych, za jaki zawsze każdy okres przedwyborczy uważany być może, wskazuje może nie tak wyraźnie jakieś nowe kierunki pozytywne, jak raczej ten jeden negatywny, mianowicie, że tak, jak było dotąd, było źle i tak dalej być nie może.

Patrzymy więc własnemi oczami na dokonywującą się bardzo widomie wielką ewolucję poglądów i nastrojów społecznych.

Myśl gospodarcza była przez pierwsze lata naszej państwowości kopciuszkiem wśród wszystkich haseł. Szkalowana i oskarżana, tłumiona i tępiona, podejrzewana i zapoznawana stale była zagłuszana przez hałaśliwe wrzaski rozpętanej demagogji. Potrzebowała więc lat dotkliwych doświadczeń, zanim wyjść mogła z pozycji obronnej i zwolna i stopniowo przechodzić do wykonywania tej czynnej roli, jaką w życiu społeczeństwa i państwa ma do odegrania.

Mimo jednak, że w ciągu kilku, a zwłaszcza 3-ch lat ostatnich, przeniknęła do umysłów szerokich sfer społeczeństwa, które na własnej skórze odczuło okropne skutki antygospodarczej polityki sejmu i rządu, ciągle jeszcze nieśmiało tylko manifestowała swe słuszne uprawnienia, nie mając jeszcze dość siły na to, by w momencie decydującym łokciami torować sobie drogę w tłumie zazdrosnej o swą niepodzielną władzę demagogji.

Pierwsza próba w tym kierunku podjęta została dopiero w Łodzi, gdzie wśród list; tak czy inaczej, jawnie czy skrycie partyjno-politycznie zabarwionych, znajdzie się jedna, z której przemawiać będą do wyborców wspólnie przemysł i rzemiosło, zatem nieskażona żadnem zabarwieniem partyjnem myśl gospodarcza.

Jeżeli więc nie czas jeszcze mówić o triumfie zdrowych haseł nad zgubnemi, jeżeli nawet powodzenie tej pierwszej w Polsce prawdziwie apolitycznej i czysto-gospodarczej listy nie będzie jeszcze oznaczało zwycięstwa — to jednak bez żadnej przesady powiedzieć można, iż ta pierwsza próba wstąpienia w szranki walki wyborczej bez obłudnej maski partyjno - politycznej i z odkrytem obliczem wyraźnie i tylko gospodarczem, oznacza postęp wielki i epokowy. Ten przykład nie będzie mógł nie znaleźć naśladowców, którzy zachęceni dowodem powrotu społeczeństwa do zdrowia szukać będą oparcia dla swej pracy i działalności w zbudzonych zdrowych instynktach, zamiast budować na najniższych i przez to samo podniecać je i rozwijać.

Czyn został podjęty — reszta zależy od wyborców i ich zdolności oderwania myśli od ubocznych względów przekonaniowych, wyznaniowych, narodowościowych, i ubicia gościńca dla myśli gospodarczej, która jedynie umocnić może podstawy naszego państwowego rozwoju, rozkwitu i potęgi.

M. B.

O NAPRAWĘ PARLAMENTU

Reforma ordynacji wyborczej zamiast ukrytej dyktatury

P. Dr. G. Doborzyński w Nr. 35 „Prawdy", stawia dylemat: albo sejm, wyrosły z pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej — a zatem składający się z analfabetów politycznych, posiadających „nader słabe poczucie odpowiedzialności za losy państwa" — a w znacznej części traktujących „swe stanowiska, jako źródło osobistych korzyści" — albo krypto-dyktatura, zezwalająca sejmowi „grać rolę pomocniczą dla rządu, prawodawczą — tylko pozornie".

Podłożem takiego postawienia dylematu jest uznanie obowiązującej obecnie ordynacji wyborczej za nienaruszalne „tabu" — przyczem zresztą dr. Doborzyński nie zadaje sobie fatygi uzasadnić, dlaczego? Wszakże orgumentu, iż „ordynacji wyborczej zmienić na korzyść warstw wyżej oświatowo i kulturalnie stojących nie można, bo byłoby to sprzeczne z całą organizacją demokratycznej Rzeczypospolitej" — poważnie traktować nie można, ze względu na chętną zgodę d-ra Doborzyńskiego na „tylko pozorną" nawet „pomocniczą dla rządu" rolę sejmu, — co niewątpliwie jest bardziej jeszcze sprzeczne z pojęciem „demokratycznej Rzplitej", aniżeli wszystkie znane systemy wyborcze...

Pomijam krytykę 2-ch stronnictw sejmowych — które — niewiadomo dlaczego — dr. Doborzyński traktuje anonimowo i uważa za typowe dla całego sejmu. Ważniejsze są zarzuty, czynione całemu sejmowi gremjalnie: „...powszechnie było wiadomo, iż wielu posłów traktuje swe stanowiska, jako źródło osobistych korzyści, stara się wpływać na urzędy w duchu swego stronnictwa, lub co gorsza, w duchu interesów kliki, z którą jest związany, decyduje często o obsadzie stanowisk urzędniczych i t. p.".

Zarzuty te ogólnie stawiano sejmowi — i niestety, zdaje się, były one uzasadnione... Sprowadzają się one właściwie do 2-ch punktów:

1) Sejm nie reprezentował społeczeństwa polskiego, tylko stronnictwa, kliki;

2) Posłowie przekraczali kompetencje władzy ustawodawczej, uzurpując sobie prerogatywy władzy wykonawczej.

Ale w takim razie, ordynacja wyborcza jest nietyle *demokratyczna*, co *oligarchiczna*, — średniowieczne przywileje rodów ceduje współczesnym partjom i klikom. Dlaczegóż więc dr. Doborzyński uważa ją za nierozerwalnie związaną z demokratyczną organizacją Rzplitej?... *Reforma ordynacji wyborczej nie musi iść po linji przywilejów dla „warstw wyżej oświatowo i kulturalnie stojących"* — wystarczy, jeżeli odbierze partjom i klikom *monopol nominacyj kandydatów na posłów;* poseł, wybrany *imiennie*, związany jest ze społeczeństwem, które go wybrało — podczas gdy nominat listy partyjnej, związany jest jedynie z partją, reprezentowaną przez listy.

Głosowanie na listy i wybory proporcjonalne było niegdyś doktrynerskim postulatem niektórych ugrupowań demokratycznych; życie wykazało, *że w rzeczywistości jest to zaprzeczenie demokracji*, a powrót do sui generis oligarchji. Po niefortunnych próbach, społeczeństwo ma pełne prawo domagać się należnych sobie praw wyborczych. Głosowanie na posła, posiadającego imię i nazwisko — zamiast numerku listy — *daje już pewną gwarancję wyższego poziomu naszej reprezentacji.*

Rozpatrując 2-gi punkt zarzutów, stawianych sejmowi — trzeba przyznać, że stary Monteskiusz miał pełną rację, dowodząc konieczności podziału władz... Władza ustawodawcza, wtrącając się do wykonawczej — dezorganizuje ją. Ale też i władza wykonawcza, biorąc na się funkcje prawodawcze, nie lepiej się z nich wywiązuje...

Jeżeli dr. Doborzyński funkcje ustawodawcze sejmu traktuje jako „balast, którego państwo się szczęśliwie pozbyło" — to popełnia błąd zasadniczy, identyfikując pojęcie *państwa i rządu.* Myślę, że współczesne *państwo nie da się pomyśleć bez ciała reprezentacyjnego, posiadającego kompetencje ustawodawcze* — i te właśnie funkcje, we wszystkich krajach cywilizowanych, spełnia znacznie lepiej, aniżeli rząd, mający przyrodzone skłonności biurokratyczne. Zresztą, krytyka d-ra Doborzyńskiego, skierowana wyłącznie do sejmu — godzi rikoszetem i w rząd.

Posłowie bezprawnie wtrącali się do urzędów — ale czy rząd bronił swych prerogatyw? Z ogłoszonych drukiem wspomnień o dwuletniej władzy p. Grabskiego, dowiadujemy się, że On jasno *widział* „absurdalne" pomysły sejmu — ale po Tołstojowsku „nie przeciwdziałał złu" — usiłował być barometrem, notującym ciśnienie atmosferyczne sejmu — a nie sternikiem, zdecydowanie kierującym nawą państwa ku jasno wytkniętemu celowi. W rezultacie, ogromne pełnomocnictwa, otrzymane od sejmu, a poparte jeszcze większym kapitałem zaufania społeczeństwa, rozmienił na drobną monetę dekretów nieprzemyślanych i roztrwonił ku wielkiej szkodzie Polski... Jeżeli mię pamięć nie myli, to w kalejdoskopowych zmianach rządów w Polsce, *tylko jeden jedyny minister Sosnkowski odszedł, z powodu niemożności uzyskania od sejmu kredytów,* jakie uważał za konieczne. *Wszyscy inni odchodzili bez walki o jakieś niezłomne zasady czy postulaty* — poprostu, teki ich potrzebne były dla innych wskutek zakulisowych targów partyjnych — ot, „ôtes toi que je m'y mette"...

Nie rozstrzygam tu kwestji, czy w Polsce wogóle brak „typów władczych", lub przynajmniej ludzi, mających jasno sprecyzowane cele i ideały i dość hartu do przeprowadzenia ich w życie — czy tylko brak ich wśród stronnictw, dostarczających kandydatów do tek ministerjalnych — ale faktem jest, że i niezależne od sejmu „rządy pomajowe" nie wykazują twórczości w wytyczaniu nowych dróg Polsce... Czyż nie lepiej więc dążyć do gruntownej, zasadniczej reformy, ustalającej kompetencję każdego z czynników i umożliwiającą zgodne ich współdziałanie? Dr. Doborzyński zupełnie słusznie stwierdza sztuczność optymizmu partyjnictwa w ocenie sejmu *obecnego* i przeciwstawianie go „woli jednego człowieka, w którego ręku jest siła". Ale Człowiek ten, ma coś znacznie większego, niż „siła": ma autorytet moralny, aureolę bohaterstwa, miłość prawdopodobnie olbrzymiej większości Narodu, który w Nim ześrodkowuje swoje nadzieje na lepszą przyszłość, na definitywne wybrnięcie z bagienka, w jakie nas wpędziło bezduszne partyjnictwo i demagogiczne doktrynerstwo.

Szczęśliwy naród, który w trudnym momencie dziejów znajdzie *Wielkiego Człowieka*, zdolnego silną dłonią ująć ster rządów i kierować nawą państwową bez wahań, wprost do jasno wytkniętego celu. Ale *naród, który cały entuzjazm wyładowałby na bierny zachwyt: „On wie lepiej!"... i nie współdziałał z Wodzem — zaiste, wystawiłby sobie testimonium paupertatis — i bohatera złamałby i celów państwowych nie dorósłby...* W dziejach naszych był już taki tragiczny moment: Kiedy Napoleon przygotowywał wyprawę na Moskwę, „sfery rządzące" ówczesnem Księstwem Warszawskiem, *obawiały się wszelkiej samodzielnej akcji, przygotowującej połączenie z Litwą — gdyż Napoleon mógłby się obrazić...* Wiadomo, jak gorzko Napoleon wytknął tę bierność w powrotnej drodze przez Warszawę... Maksyma „należy poczekać", głoszona przez d-ra Doborzyńskiego i tego typu „Piłsudczyków", przypomina nieco nastroje kwietyzmu z 1812 roku. Czyż zresztą dr. Doborzyński naprawdę sądzi, że nauka czytania i pisania jest równoznaczna z wyrobieniem politycznem? Czyż naród, który swe obowiązki prawodawcze przez lat 20 spełniałby „tylko pozornie" — czekając na postępy „oświaty ludu" — byłby zdolny do jakiejkolwiek akcji rzeczywistej?...

* * *

Czasy „absolutyzmu oświeconego", dającego świetne rezultaty dla państwa, minęły bezpowrotnie. *Współczesne „państwo" zbyt wiele agend objęto, aby jednostka, choćby obdarzona nadludzkiemi siłami i talentami, podołać im mogła.*

Dlatego wszelkie próby rządów absolutystycznych, *stają się w rzeczywistości rządami biurokracji*, wielce uszczęśliwionej z usunięcia kontroli społeczeństwa. *Biurokracja zaś nigdzie nie jest elitą narodu* — polska w dodatku do ogólnych wad organicznych biurokracji, odznacza się *brakiem wyszkolenia* i sprawności, *które zastępuje partyjnictwem najbardziej podejrzanego gatunku:* Mniej więcej w rok po przewrocie majowym, grupa urzędników pewnego ministerjum, ogłosiła w gazetach stołecznych o swem wystąpieniu ze stronnictwa, właśnie przez ten przewrót odegnanego od żłobu rządowego, motywując to względami „idejowemi"...

Największy tupet w ogłaszaniu się „*gospodarczą pierwszą brygadą*" mają dygnitarze innego ministerjum — o których notorycznie wiadomo, że w czasach, kiedy pierwsza Brygada Legjonowa w bojach z wrogiem przelewała krew, a w walkach z obojętnością własnego społeczeństwa — żółć, ani, na krańcach Rosji, denuncjowali wziętych do niewoli legjonistów, jako „awstryjców", a w „Tow. Pomocy Ofiarom Wojny" pomoc nieśli wyłącznie Braciom - Słowianom, którzy skwapliwie poddawali się „Opiekunce Słowian", Rosji — i trzeba było osobistej interwencji *p. Kierbedziowej*, aby choć część ciepłego przyodziewku dostali i jeńcy Polacy...

Czyż dr. Doborzyński nie rozumie tego, że dwadzieścia lat bezkarnych rządów tak niedołężnej czy skorumpowanej biurokracji, *wykruszyłoby siłę i roztrwoniło kapitał miłości i zaufania, jakiemi Naród darzy swego Wodza?* Optymizm względem „pomajowej" biurokracji jest równie sztuczny i nieszczery, jak optymizm niektórych stronnictw wobec sejmu, zrodzonego przez naszą fatalną ordynację wyborczą, z której dr. Doborzyński robi „źrenicę wolności".

Zmiany personalne były już tylekrotnie robione, że dowiodły eksperymentalnie, iż *zło leży nie w osobach, lecz w systemie;* zmiany sięgać muszą do głębi naszego ustroju. Właśnie w momencie, kiedy u steru rządu soi Mocarz, który siłę zbrojną Polski przygotowywał w czasach, kiedy powszechnie zdawało się, iż wojska trzech państw rozbiorowych stanowią potęgę niezachwianą — oczekiwać możemy gruntownej przebudowy ustroju, oparcia go na granitowym fundamencie. Sztuczny optymizm dla „systemu rządów pomajowych" i nieustanne zapewnienia, iż „wszystko jest jaknajlepiej na tym najlepszym ze światów" razi nieszczerością i prowadzi do marazmu.

Demokracja nie musi być jednoznaczna z *niwelacją*. Wielka Rzeczpospolita S. Z. ustawowo daje b. dużą władzę swemu wybrańcowi, a władzę wykonawczą uniezależnia od przetargów politycznych parlamentu; konstytucja angielska wprawdzie ogranicza bardzo znacznie władzę zwierzchnią — ale, o ile na tronie zasiada monarcha odpowiednio uzdolniony, tacito consensu wpływ jego znacznie przerasta ramy konstytucji. Koniecznym jednak warunkiem uzdrowienia ustroju i utrzymania należytego podziału władz, jest zmniejszenie ingerencji rządu do minimum. Etatyzm powojenny wyhodował ten nieznośny, dławiący przerost biurokracji i uczynił z niej machinę ociężałą, pracującą mało wydajnie, a tak kosztownie, iż jak polip wysysa siły żywotne społeczeństwa. Przysłowie francuskie powiada, iż „qui trop embrasse — mal étreint".

Dr. M. Zawadzka.

NASZA EKSPANSJA GOSPODARCZA NA BLISKIM WSCHODZIE

I.

W Nr. Nr. 16 i 35 „Prawdy" były artykuły dotyczące bankructwa dwuch naszych imprez w Turcji, mianowicie dzierżawy tureckiego monopolu spirytusowego i eksploatacji składów towarowych wzdłuż linji kolei Anatolijsko-Bagdadzkiej.

Ponieważ nie jest to, niestety, ani pierwsza, ani, zdaje się, ostatnia kompromitacja naszej przedsiębiorczości na Bliskim Wschodzie, nie od rzeczy będzie zapoznać się z genezą i początkami tej akcji, która teoretycznie wydawała się jaknajbardziej wskazaną, jednakże w praktycznem wykonaniu doprowadziła do wprost skandalicznych rezultatów.

Myśl poparcia naszego przechodzącego ciężki kryzys przemysłu przez umożliwienie eksportu na Wschód powstała na przełomie 1923 i 1924 r. pod postacią projektowanego utworzenia izby handlowej polsko-bałkańskiej. — Ideą przewodniczą było zrealizowanie handlu zamiennego z Turcją, przyczem Polska eksportowałaby wyroby metalowe (przeważnie narzędzia rolnicze), emaljowane i szkło, otrzymywałaby zaś wzamian tytoń, bawełnę i inne surowce.

W kwietniu 1924 r. udali się do Konstantynopola dyrektorzy jednego z banków warszawskich oraz przedsiębiorstwa transportowego, zabierając ze sobą tytułem próby nieco wyrobów naszego przemysłu.

Wobec tego, że znane już było dążenie ówczesnego naszego premjera i ministra skarbu do wprowadzenia w Polsce monopolu spirytusowego i co zatem idzie dalszego pogorszenia warunków pracy i tak chromającego przemysłu gorzelniczego, udał się tam w tym czasie i ś. p. Ign. Wilski, jako przedstawiciel naszych zrzeszeń spirytusowych, celem ulokowania nadmiaru spirytusu, znajdującego się w Polsce i nawiązania stałych stosunków z tamtejszym rynkiem.

W 1924 r. remanenty nieopodatkowanego spirytusu w Polsce wynosiły około 375 hektolitrów i stanowiły poważną trudność przy wprowadzeniu monopolu państwowego; dlatego sądzę, że i ze strony naszego rządu, dążącego uparcie do etatyzacji tego przemysłu, musiała nastąpić poważna zachęta w kierunku znalezienia ujścia dla tych zapasów.

Delegaci nasi rynku tureckiego, ani wogóle Wschodu i tamtejszych stosunków zupełnie nie znali, poza ś. p. Ign. Wilskim nie orjentowali się oni wogóle w podjętej przez siebie akcji, zostali więc niezwłocznie otoczeni i opanowani przez miejscowych „rycerzy przemysłu" o pochodzeniu polskiem, rosyjskiem, ormiańskiem, a nawet egipskiem.

Jako wynik tej wycieczki wyłonił się **projekt polskiej wystawy w Konstantynopolu**, który został zrealizowany we wrześniu 1924 r. i, mimo wspaniałych, płatnych recenzyj prasowych, zakończył się **kompletnem fiaskiem**, kompromitując przedsiębiorczość polską niemniej od następnie powstałych imprez.

(Niżej podpisany uległ sam złudzeniu co do powagi tego przedsięwzięcia i z końcem lata 1924 r. udał się do Konstantynopola i Anatolji celem zbadania możliwości i zorganizowania importu do Polski dwuch głównych artykułów, t. j. bawełny z okolic Adany i tytoniu z Małej Azji).

Zaczęto więc organizować wystawę; — plac wybrano może trochę zamały, lecz zato malowniczo położony nad Bosforem i to było niezaprzeczenie jedyną dodatnią stroną tego przedsięwzięcia.

Wytwórczość polskich fabryk uzbrojenia wojskowego była należycie reprezentowana, pozatem wystawa ta nic sobą nie przedstawiała, bowiem **poważny przemysł polski zarówno tekstylny jak metalowy i chemiczny udziału nie wziął.** Przeważały firmy branży cukierniczej i perfumeryjnej, które nie wytrzymywały najsłabszej konkurencji z miejscowym przemysłem oraz po jednej: fabryki mebli żelaznych, obrabiarek do drzewa, przemysłu gorzelniczego i dwie fabryki narzędzi rolniczych, z których jedna poważna.

Sensację budziła pierwsza lokomotywa, zbudowana w Polsce (jednak z części zakupionych we Francji); było również parę wagonów osobowych i towarowych, oraz zwykłe drobiazgi tandety wystawowej.—O dziale tureckim, zapełnionym miejscowymi wyrobami nie wspominam.

Jako atrakcje dla przyjezdnych ziomków (gdyż frekwencja miejscowej ludności była minimalna) uważać należy sprowadzoną z Warszawy stołeczną orkiestrę reprezentacyjną 36 p. p. oraz zajmującą lwią część terenu wystawy **restaurację, wydzierżawioną przedsiębiorcy - grekowi,** który tak ją wyposażył bogato **w personel żeński z pośród emigrantek rosyjskich i greckich, że nadawała ona całej wystawie charakter swoisty.**

Dla rozwoju eksportu naszego przemysłu nie miała ta wystawa żadnego znaczenia i tylko pewna drobna część eksponatów została sprzedaną, znaczniejsza ilość powróciła do kraju, reszta zaś (przeważnie narzędzia rolnicze), która nie wytrzymywała kosztów powrotnego przewozu, pozostała **i stanowiła zaczątek polskich składów towarowych w Konstantynopolu.**

Wystawa polska w sferach handlowych Konstantynopola spotkała się z oceną krytyczną, jako niedająca faktycznego obrazu przemysłu polskiego.

Narzędzia rolnicze nie miały poważniejszych odbiorców, albowiem domy handlowe, które się niemi interesowały, zażądały poszczególnych części i, po ich potłuczeniu, porównały z takiemiż częściami narzędzi fabrykacji czeskiej i niemieckiej, **wykazując niedokładność stopu i dużą domieszkę szmelcu w naszych wyrobach.**

Zakończenie wystawy i jej likwidacja połączone były z poważnem **poderwaniem prestige'u** dyrekcji tej wystawy **i Min. Przemysłu i Handlu,** które jej patronowało. Mianowicie jeszcze przed zamknięciem wystawy przedsiębiorca budowlany i dzierżawca restauracji za nieuregulowane świadczenia na rzecz dyrekcji wystawy **uzyskali wyroki sądowe i dążyli do położenia aresztu na eksponatach** przed ich reekspedycją. Dopiero interwencja poselstwa, a głównie udzielenie przez rząd polski niezależnie od pierwotnego subsydjum **kredytu w wysokości 30,000 dolarów** na wyrównanie deficytu wystawy, zapobiegło tej kompromitacji. — Mam poważne wątpliwości czy kredyt ten zostanie kiedykolwiek przez twórców wystawy uregulowany.

Jak to wyżej zaznaczyłem pewien zapas narzędzi rolniczych i innych pozostał w Konstantynopolu celem rozsprzedaży z wolnej ręki i w tym celu zostały utworzone **składy towarowe** na wspólny rachunek wzmiankowanego banku warszawskiego oraz banczku konstantynopolitańskiego **„Crédit National Ottoman"**, który cieszył się na miejscu opinją i powagą mniej więcej taką, jak nasze b. banki: „wschodni", „centralny" i „stołeczny".

Pomimo tak nacjonalistycznej firmy założycielami jego i członkami zarządu byli wyłącznie „Spaniole" Saloniccy, wydaleni z tego miasta przez władze greckie.

Jak bank ten pojmował swoje stosunki handlowe z Polską wyjaśnia fakt, że za udzielenie akredytywy dla jedynej tranzakcji eksportowej i to nieznacznej dostawy surowca tytoniowego dla monopolu polskiego, żądał on prowizji w wysokości ¾ proc. miesięcznie, gdy Banca Commerciale Italiana, oddział w Konstantynopolu podjął się tej operacji za ¼ proc. za cały 3-ch miesięczny okres, t. j. dziewięciokrotnie taniej.

Wobec podobnych warunków finansowania **żadne przedsięwzięcie polskie nie mogło liczyć na pomyślny rozwój i możność konkurencji z przemysłem czeskim, niemieckim i włoskim, tembardziej, że ów bank warszawski żadnymi kapitałami na ten cel nie rozporządzał i kredytów uzyskać nie mógł.**

Widząc tak beznadziejne horoskopy dla tej sprawy i chwytanie się byle coś przeprowadzić tak małopoważnych tranzakcyj jak pośredniczenie w lokowaniu na rynku warszawskim drobnych partyj suszonych owoców, oliwy lub herbaty, uważałem za jedynie wskazane wycofanie się z tej imprezy już w styczniu 1925 r.

* * *

Rozpoczęte w 1924 r. dwie afery: spirytusowa i narzędzi rolniczych, zawdzięczając dobrym stosunkom naszych „attachés" z władzami tureckiemi, a bardziej jeszcze wszechpotężnym „bakszyszom", nabrały należytego rozmachu i w następnych latach skrystalizowały się w dwuch odrębnych przedsiębiorstwach, które też odrębnie traktować będę.

Rząd nacjonalistyczny Kemala-Paszy bodaj że z większą jeszcze zaciekłością i nieznajomością rzeczy, aniżeli nasz z okresu 1924/25 r. dążył do etatyzacji tureckiego życia państwowego. — Popełniano w projektach tych takie nonsensy jak np. w monopolu spirytusowem żądanie wypędu spirytusu na miejscu z sprowadzanej do Turcji kukurydzy i pszenicy (krajowa produkcja niestarcza) zamiast importowania gotowego produktu; w monopolu zaś tytoniowym (kończyła się bowiem właśnie umowa dzierżawna z „Compagnie Co — interessée de la Régie Ottomane") przerabiania ¾ produkcji tureckich plantacji tytoniowych na miejscu i eksport gotowych wyrobów zagranicę, a tylko ¼ części w stanie surowym.

Kto ma chociaż słabe wyobrażenie o handlu tytoniem, wyczuwał cały absurd podobnego żądania i nabierał wrażenia, że projekt ten powstał pod wpływem złej woli, aby następnie drogą ustępstw znaleźć źródło obfitych świadczeń nielegalnych.

W monopolu spirytusowym nasi „pionierzy" znaleźli drogę porozumienia i warunek wytwarzania spirytusu na miejscu został uchylony; natomiast w monopolu tytoniowym, o ile mi wiadomo, do kompromisu niedoszło i rząd turecki eksploatował ten monopol w własnym zarządzie, eksportując jak dawniej 9/10 swej produkcji w stanie surowym.

W. E. Zieliński.

DWIE ROSJE

W obecnej sytuacji europejskiej istnieją właściwie dwie Rosje, urzędowa bolszewicka i nieurzędowa monarchiczna. Obie walczą ze sobą i prowadzą każda własną politykę: jedna jawną, druga tajną. Rosja bolszewicka, jako rząd istniejący de facto, uznaną jest prawie przez wszystkie państwa europejskie, którym na prawidłowym stosunku z tym olbrzymem zależy. Niedobitki Rosji monarchicznej, tułając się po różnych kątach Europy, szukając, gdzie się uda gościnności, są przeciwnikami bolszewizmu, nietyle z powodu jego barbarzyństwa, bo i sami byli carskimi opryczników wobec innych narodów, ile z żalu za utraconą władzą i synekurami. Bolszewicy wprowadzili nowy system rządu i ustroju państwa w krytykę którego wdawać się nie będziemy, — monarchiści tęsknią do starego systemu, radziby nietylko historję, ale i etnografję traktować z punku widzenia polityki carskiej. Próbki tego miewaliśmy właśnie u siebie, na tem pograniczu, gdzie od wieków oba państwa: Rosja i Polska, stykały się i stykać się muszą.

Niegdyś z Rosją carską, monarchiczną ścieraliśmy się, nieraz i traktaty zawieraliśmy, których carowie bądź nie dotrzymywali, bądź łamali lub czekali tak długo aż zwyciężyli — czekaniem. Taki los spotkał Traktat Andruszowski (1667), traktat zawarty o czasowe posiadanie Kijowa, a zakończony w roku 1686 ostatecznie zatrzymaniem go i wreszcie traktat pierwszego rozbioru, gwarantujący nietykalność reszty. Wiemy, jak się on zakończył i jakie były następstwa samowoli carskiej Rosji.

Z Rosją bolszewicką prowadziliśmy także wojnę rewindykacyjną, zakończoną, niezbyt szczęśliwym traktatem w Rydze. Rząd sowiecki, tak samo jak w całym świecie szerzy i u naś niepokoje agitacyjne w myśl swoich przekonań, ale traktatu Ryskiego przestrzega. I nas to przestrzeganie obowiązuje. Droga do dalszych stosunków jest zatem otwarta. Walczyliśmy z rządami rosyjskimi, ale nie z narodem. Traktat ryski jest stałą linją wytyczną polityki naszej i bolszewickiej. Wiemy co jest, jak jest i czego się trzymać.

Inaczej wszakże przedstawiają się nastroje wobec mas emigracyjnych grupy monarchistów. Prowadząc tajemną i ostrą walkę prasową, a poniekąd dyplomatyczną przeciwko rządowi bolszewickiemu, z którym traktatowo jesteśmy związani, monarchiści rosyjscy, marząc o powrocie do władzy, nietylko w niczem nie zaznaczyli jawnie, jasno i wyraźnie swego stosunku do nas w przyszłości, ale przeciwnie, z głosów ich prasy wnioskować mamy prawo, że *zdecydowani są prowadzić politykę carską.* Swego credo politycznego wobec Polski nie wypowiedzieli jasno, otwarcie, szczerze. W walce z silnym przeciwnikiem, bolszewizmem, to nie jest taktyka najlepsza na przyszłość.

Rosja bolszewicka wywołuje u nas niepokój wewnętrzny w imię swoich zasad socjologicznych, Rosja monarchiczna podkopuje również nasz spokój wewnętrzny i naszą spoistość państwową, propagując teorje i zasady carskiego monarchizmu.

Nie tak to dawno jak „Rosyjskie Narodowe Zjednoczenie" organizowało *wiece mniejszości słowiańskich we Lwowie,* gdzie wygłaszano referaty nietylko po rosyjsku, ale pod sztandar rosyjski zaciągano narodowości ruską i białoruską, szerząc wśród niezorjentowanych narodowo Rusinów i Białorusinów bałamutne idee o jedności i wspólności narodowej z Rosją, tak, jakgdyby wspólne wyznanie religijne prawosławne mogło być cechą wspólności i jedności narodowej. Była to niewątpliwie agitacja na znane tematy carskiej polityki, która w dzisiejszych warunkach miała wszelkie cechy *łączenia i organizowania naszych mniejszości słowiańskich* w celu wyzyskiwania łatwowiernych przy zbliżających się wyborach do sejmu.

Ci nieliczni Rosjanie, których los uczynił obywatelami polskimi, nie powinni zapominać, że w Polsce są przybyszami, którzy przywędrowali za chlebem lub jako urzędnicy carskiego rządu zdobyli tu wygodne stanowiska, a nieraz majątek. Obowiązkiem ich przeto jest *popieranie polityki swojej przybranej Ojczyzny,* a nie szerzenie marzeń i fantazji narodowych carskiej Rosji.

Wydala z granic swoich szkodników bolszewickich Anglja, Francja, czyżby spiskujący monarchiści rosyjscy byli lepsi od bolszewików? Ambo meliores. Każdy w innym guście.

I dlatego *wydalenie grupki niespokojnie zachowujących się Rosjan* uważamy za rzecz pożyteczną dla spokoju państwa. Nie można tego uważać za ustępstwo na rzecz rządu bolszewickiego, lecz poprostu za samoobronę państwową.

Nie naszą jest rzeczą wdawać się w to, czy propaganda monarchizmu rosyjskiego była ideową, czy też podsycaną z innych źródeł, czy wydaleni Rosjanie byli ideowcami, czy płatnymi ajentami, to kwestja moralności publicznej. Fakty przemawiały za tem, że na gruncie państwa polskiego odbywała się, nieraz w prasie rosyjskiej nawet, agitacja na rzecz rosyjskiego monarchizmu, szkodliwa dla naszych interesów państwowych. Zastosowano przeto wobec kilku osób tej grupy środek najłagodniejszy, przyjęty i stosowany przez wszystkie państwa kulturalne. Ci panowie wiedzą o tem dobrze, że carska Rosja w takich razach posługiwała się twierdzą Pietro-Pawłowską, Szliseburgiem lub Sybirem.

Jak dalece Rosjanie, zamieszkujący Polskę, nie zdają sobie sprawy ani ze stanowiska swego w Polsce, ani ze stosunku swego do państwa, świadczy o tem protest *Towarzystwa rosyjskiego w Wilnie* przeciwko wydaleniu kilku Rosjan, niezasługujących na opiekę państwa. Nie znamy jeszcze tego protestu, ale ma on być zredagowany w bardzo ostrym tonie i przesłany p. Sieriebriannikowi, posłowi z grupy rosyjskiej na sejm w celu wniesienia interpelacji.

Jeśli istotnie coś podobnego ma miejsce, to ze sprawą wydalenia monarchistów rosyjskich łączy się objaw bardzo niepokojący, bo świadczy nietylko o tem, jakie nastroje panują w społeczeństwie rosyjskiem w Polsce, ale że mamy do czynienia z opozycją antipaństwową. To zmusiłoby społeczeństwo polskie zwrócić pilniejszą uwagę na nieliczną, na szczęście, i rozsianą po całej Polsce grupkę Rosjan, którzy, ochłonąwszy ze strachu bolszewickiego, próbują wysunąć w Polsce carskie rogi. Oddzieleni od swojej wielkiej ojczyzny, zamiast korzystać nietylko z prawa azylu, lecz i z praw obywatelskich, o jakich nie marzyło się im nawet w Rosji, występują z protestami i skargami.

Wydalenie grupki Rosjan, jest faktem smutnym i przejściwo ciężkim, przedewszystkiem dla wydalonych, ale Polska, jak każde państwo praworządne i kulturalne niema innego spoobu dla zabezpieczenia sobie spokoju wewnętrznego przed spiskowcami obcej narodowości. Na to żadne protesty nie pomogą.

Rosjanie w Polsce zbyt prędko i zbyt skrajnie, po swojemu nauczyli się korzystać ze swobód obywatelskich, nadużywając ich dla celów zakulisowych. Już zjazd, czy wiec, o bardzo niewyraźnym, a jednak wyraźnym charakterze, na którym p. Sieriebriannikow magna pars fuit, dał nam przedsmak myśli i uczuć, nurtujących w społeczeństwie rosyjskiem w Polsce. Przedsmak niezapowiadający nic dobrego.

Na razie nie istnieją w stosunku do nas dwie Rosje, obie wrogie, ale każda z innego punktu widzenia. Mimo wszystko, jedna związana z nami traktatem, uznającym status quo tu i tam, druga niezwiązana niczem, działająca przeciwko nam konspiracyjnie. Jeśli z jedną musimy szukać dróg do państwowego współżycia, to z drugą musimy walczyć jako mącicielką naszego spokoju wewnętrznego.

R. G.

Prosimy o wpłacanie prenumeraty.

W SPRAWIE ESPERANTA

„Esperanto — to natrętny chrabąszcz, który wciska się wszędzie i niepokoi swojem brzęczeniem.

Nie miałoby już chyba społeczeństwo polskie zupełnie nic innego do roboty, gdyby miało zaprzątać sobie głowę bzdykaniem natrętnego chrabąszcza".

Oto w przybliżeniu słowa, jakiemi odniósł się do Esperanta pewien „poważny" dziennik krakowski na kilka miesięcy przed VIII z rzędu światowym kongresem esperantystów, który odbył się w lipcu 1912 r. w Krakowie.

Od tego czasu wiele wody w Wiśle upłynęło. Aczkolwiek przez ten okres piętnastoletni społeczeństwo polskie miało rzeczywiście bardzo wiele do roboty, przecież nie zabrakło mu czasu i na zajęcie się nieszczęśliwym „chrabąszczem". Już w roku 1912 Kraków, a z niem i Polska cała miały sposobność poznać, iż Esperanto to nie bzdykanie chrabąszcza, ale bardzo poważny ruch kulturalny. Gośćmi Krakowa z okazji VIII kongresu esperantystów było około 3000 osób reprezentujących 32 narodowości. Osobami temi zaś nie byli jacyś fanatyczni wyznawcy bzdykającego chrabąszcza, lecz najpoważniejsi przedstawiciele różnych narodów, reprezentujący wszystkie warstwy społeczne. Między gośćmi nie brakło uczonych o sławie europejskiej i światowej, profesorów, literatów, oficjalnych przedstawicieli rządów, generałów.

To też legenda o brzęczącym chrabąszczu po kongresie esperantystów w Krakowie rozwiała się bardzo szybko. Społeczeństwo polskie zajęło wobec Esperanta stanowisko zasadniczo przychylne.

Przyszła wielka wojna światowa. Narody Europy przestały się chwilowo zajmować Esperantem, bo znalazły inny język międzynarodowy. Językiem tym został głos armat, grzechot karabinów, jęki rannych i rzężenia konających.

Ludzkość zapomniała nietylko o Esperancie. Zapomniała o wszystkiem, co kulturalne. Tylko pojedyńcze wielkie umysły poszczególnych narodów rozumiały straszne nieszczęście, jakie na całą ludzkość w krwawej wojnie spadło.

Ale wszystko ma swój koniec — i wojna także. W miarę jak ta zbliżała się ku końcowi, dwa wielkie walczące obozy: państwa centralne i koalicja, poczęły udowadniać, że nie one, ale ich przeciwnik wojnę wywołał i że na niego odpowiedzialność za krwawe zapasy spada. Czyniły zaś swoje dowody obydwie grupy, używając wszelkich możliwych sposobów i języków: Francuzi posługiwali się językiem niemieckim, Niemcy językiem francuskim. By zaś trafić do czytelników wszelkiej narodowości, zaczęto w dużej mierze posługiwać się Esperantem. I oto w ryk armat i w grzechot karabinów, ów wojenny język międzynarodowy, został wpleciony pokojowy język ludzkości: Esperanto.

Powstała Liga Narodów. Jako jeden z punktów swej działalności ma ona w programie zaprowadzenie pomocniczego języka międzynarodowego w powszechne użycie. Trzynaście państw (na czele Japonja, Chiny, Włochy, Czechosłowacja) złożyło w Lidze wniosek o uznanie Esperanta za pomocniczy język międzynarodowy i o wprowadzenie go w powszechne użycie w państwach należących do Ligi. Polska podpisuje ten wniosek, a to przez swych przedstawicieli: ministrów Sokala i Skrzyńskiego. Liga Narodów zajmuje się na swem posiedzeniu w r. 1925 sprawą Esperanta, uchwala wprowadzić ten język w dziedzinie telegrafji, oraz rozsyła pisma do państw z zapytaniem, jakie jest ich stanowisko wobec Esperanta i czy wprowadzą ten język do programu swych szkół, jeżeli dziesięć państw zgodzi się to uczynić.

Oto krótka historja sprawy esperanckiej na forum międzynarodowem, do której należy dodać chyba tylko to, że wiele państw, nie czekając wyniku ankiety co do wprowadzenia Esperanta do szkół, zaczęło to czynić na własną rękę, zezwalając na nadobowiązkową naukę Esperanta w szkołach ludowych, średnich i zawodowych. Nadto kilka państw stworzyło uniwersyteckie katedry Esperanta.

I w Polsce rośnie stale zrozumienie dla Esperanta i zainteresowanie się jego rozwojem. Zaczynamy rozumieć, że Polska nie straciłaby nic a nic, gdyby Esperanto zostało wprowadzone w powszechne użycie. Zamiast uczyć się kilku języków obcych, uczylibyśmy się tylko jednego: międzynarodowego Esperanta. Młodzież nasza mogłaby więc poświęcić więcej czasu na głębsze zapoznanie się z językiem ojczystym i jego literaturą. Nie stracilibyśmy więc nic, a zyskalibyśmy na Esperancie bardzo wiele.

I w Polsce zaczyna coraz więcej ludzi rozumieć, że w epoce radja i aeroplanów zaprowadzenie jednego pomocniczego języka międzynarodowego jest koniecznością. Ponieważ zaś językiem takim nie może być żaden język starożytny, ponieważ dalej językiem takim nie może być także żaden z języków narodowych (anglicy nie zgodzą się nigdy na francuski, a francuzi nigdy na angielski!), przeto językiem międzynarodowym może być tylko język sztuczny, neutralny, łatwy do nauki, a takim językiem jest właśnie Esperanto, genjalny twór d-ra Ludwika Łazarza Zamenhofa, urodzonego w Białymstoku, a zmarłego i pochowanego w Warszawie.

Ostatni kongres esperantystów w Gdańsku i w Warszawie zwrócił uwagę naszego społeczeństwa na sprawę Eperanta. Znowu przybyli do nas wybitni przedstawiciele obcych narodów. W Warszawie i w Białymstoku składali oni hołd Zamenhofowi, o którym słusznie powiedział w czasie odsłonięcia tablicy pamiątkowej na domu, w którym urodził się Zamenhof, wojewoda białostocki, inż. Rembowski: „Zamenhof należy do genjuszów całej ludzkości. Polska musi być dumną, iż Zamenhof jest synem Polski".

Tak powiedział wysoki urzędnik Rzeczypospolitej. Zdanie jego zgadza się z dziesiątkami tysięcy zagranicznych esperantystów, dla których Warszawa jest Mekką Esperanta.

Leopold Kronenberg.

„CHORE" RADJO

Od pierwszej chwili istnienia „S. A. Polskie Radjo" słyszymy stałe narzekania na jej wadliwe funkcjonowanie, niski poziom szeregu produkcji, kiepski dobór programów i panujący wewnątrz system protekcyjny, który wychodzi jedynie na szkodę wartości audycyj. Tak więc przybyło nam jeszcze jedno przedsiębiorstwo w rodzaju „Chorej Kasy", „Pasty", krótko mówiąc tych instytucyj, które korzystają z pomocy państwowej, a publiczność traktują, jak gromadę owiec otoczonych kolczastym drutem ustaw i rozporządzeń rządowych.

Dotychczasowa bezkarność rozmaitych niewłaściwości i kierowników „Polskiego Radja" doprowadziła do takiego rozluźnienia pojęć, że ostatnio pozwolono sobie bez uprzedzenia radjosłuchaczy zrobić w audycji koncertowej wstawki... gramofonowe. Odbiorca, który wedle zapowiedzi programowej wsłuchiwał się z całem nabożeństwem w mniemaną produkcję muzyczną, otrzymał jedynie fabrykowaną transmisję lepszego czy gorszego fonografu. Nie będziemy tutaj kwalifikować ani nadawać nasuwających się epitetów dla tego rodzaju praktyk, lecz w imię istotnego dążenia do rozwoju radjofonji w Polsce stwierdzimy, że miarodajne czynniki nie powinny w żadnym wypadku dopuścić do dalszego zabagniania stosunków w tem przedsiębiorstwie mającem znaczenie ogólno-państwowe. Jest rzeczą zrozumiałą, że przy obecnym stanie rzeczy posiadamy w porównaniu z Zachodnią Europą niesłychanie małą ilość zarejestrowanych radjo-aparatów — około 90.000 — i cyfra ta zwiększać się może jedynie w ślimaczem tempie.

Przyjęło się u nas niestety mniemanie, że jeśli komukolwiek uda się w ten czy inny sposób zagarnąć w ręce eksploatację jednej z dziedzin twórczości genjuszu wszechludzkiego, to przez ten sam fakt uważa i siebie za Promoteusza, który dobrotliwie raczy rozrzucać iskry światłości pozostałej szarej braci. Pojęcie to jest z gruntu fałszywe i powinno być raz na zawsze wykorzenione: **jeśli oddaje się komuś w dzierżawę interes monopolowy, choćby to był niteres związany z eksploatacją sztuki czy zdobyczy naukowych, to fakt ten nie uprawnia dzierżawców do traktowania obywateli narówni z niedorozwiniętym tłumem, który zadowoli się byle kuglarskiemi sztuczkami, lub byle piaskiem rzucanym w oczy.** Radjo przestało być zaczarowanym „kunsztykiem' i abonent wcale już nie wpada w zachwyt z tego powodu, że coś tam przez kryształek czy tubę gada i skrzeczy.

Trzeba było szeregu gwałtownych koncentrycznych ataków i nalegań, by skłonić ostatnio Dyrekcję Polskiego Radja do pewnej zmiany zmechanizowanych i zrutynizowanych programów, które podawane były niezmiennie od czasu powstania stacji warszawskiej, jak wyschnięta nóżka kurczęcia w ryżowej potrawce. Jednakże rzecz wymaga gruntownej naprawy i reorganizacji, gdyż w przeciwnym razie odtąd, aż do nowej kampanji dostawać znów będziemy sam bigos w oleju.

Dla dobra sprawy muszą w łonie Instytucji nastąpić radykalne zmiany, a system protekcyjny powinien być z tej placówki absolutnie wykluczony. Jedynie wartość artystyczna, fachowa czy naukowa powinna decydować o dopuszczeniu tej czy owej produkcji w Radjo, a w żadnym razie względy przywilejów, ustosunkowania itd. w grę wchodzić nie mogą. Radjo nie może być tubą reklamową dla grupki osób skoligaconych lub uprzywilejowanych, jeśli ma być oparte na zdrowych podstawach i dorównać wysokiemu poziomowi programów europejskich. Narzucanie nieodpowiednich sił, powtarzanie do znudzenia tych samych kompozycyj, uporczywe pomijanie zdrowej inicjatywy i zasklepianie się w ciasnych ramach własnej ubogiej wynalazczości, oto dla rozwoju naszej radjofonji główne przeszkody, które co najrychlej wymieść powinna żelazna miotła uzdrowienia.

Jar.

List z Algieru

Skorpiony. — Modliszki. — Skolopendry. — Komary. — Żywe ogórki. — Mrówki. — Pchły.

Alger, wrzesień 1927 r.

W zoologicznym gabinecie Uniwersytetu Warszawskiego, nawiasem mówiąc jednego z najlepiej uposażonych, jaki widziałem w mych wędrówkach po świecie, są bardzo ciekawe okazy entomologiczne Afryki. Pająki wprost straszne. Wielkości dłoni, czarne. Muszą one jednak pochodzić gdzieś z Senegalu lub Kongo, gdyż w północnej Afryce nie spotyka się ich. Przy tutejszym uniwersytecie niema wogóle zbiorów zoologicznych. Jest cokolwiek okazów w słoikach, a pozatem widziałem tylko pająka o krótkich, mocnych łapach z okropnemi szczękami o długości tułowia, t. j. około 10 cm. wyłowionego w okolicach Tunisu. Istne straszydło, a nazywa się Galeodes. Na szczęście nie jest to pająk jadowity.

W gliniastej glebie, pod kamieniami, spotyka się tu skorpiony szare i czarne, te ostatnie nieco większe, podobne do małych raków. Prędko umykają, gdy ruszyć kamień, a groźne ich ogony, łączące łukiem tył z przodem, ustrojone igiełką żądła, są zawsze gotowe do zadania ciosu. Bolesne jest to ukłucie. Arab, gdy go takie żądło dotknie, kładzie się na ziemię, zadziera ręce i nogi do góry i wyje, jak zwierz. Przechowywałem kiedyś u siebie skorpiona od marca do listopada. Gdy raz po chłodnej nocy wystawiłem go nieostrożnie w szklanem naczyniu na słońce, słońce mi go zabiło. Był to prawdziwy zbój, uśmiercał wszystko, co mu się trafiło: muchy, pająki, gąsienice. Mucha, gdy złapał ją swemi szczypcami, a robił to ogromnie zgrabnie, zarzuciwszy ogon przez głowę, dotknął ją swą igłą, odrazu przestawała brzęczeć, a skrzydła jej sztywniały, jakby paraliżem tknięte. Wtedy pożerał ofiarę. Nie był łakomy. Po dwuch, trzech muchach, więcej nie chciał, odpychając rzucane mu owady łapami.

Bodaj najciekawszym z owadów jest modliszka, koloru i wielkości dużego konika polnego, nawet nieco podobna do niego, tylko o potężnych, a ozębionych jak piła, przednich łapach, którymi chwyta swą zdobycz. Ciekawem jest przytem, iż śledząc za ofiarą, obraca głową i zda się iż naprawdę hypnotyzuje ogromnymi oczyma. Karaluchy są tu tak ogromne, jak myszy. Modliszka chwyta go łapami i zaczyna pożerać od boków, gdzie łatwiej wpijają się jej szczęki, przytem chrupie, jakby mysz gryzła. Nie ma owada, z którym modliszka nie dałaby sobie rady, chociażby był największy. A gdy raz trafi w jej łapy ratunku niema. Żarłoczną jest fenomenalnie. Miałem modliszkę od września do połowy grudnia. Zwykle siedziała spokojnie na biurku, kręcąc głową i oglądając się na muchy. Dopiero w listopadzie stała się niespokojną i wymykała się, tak że musiałem ją szukać po wszystkich pokojach. Po pewnym czasie zrozumiałem przyczynę tego niepokoju, gdy zobaczyłem orzech wielkości włoskiego, jaki zniosła, konsystencji tej, jakie są gniazda os, niby z papieru. Miały z tego orzecha wylęgnąć się młode na rok przyszły. Wkrótce, zniósłszy jeszcze jeden taki orzech, wyczerpana zginęła. W lipcu, roku następnego, wylęgły się młode w liczbie około 50. Były bardzo żwawe, zgrabne, ale mimo troskliwej opieki, poginęły, przypuszczam z głodu, bo nic jeść nie chciały. Ciekawem jest, że Fabr w swych opowiadaniach entomologicznych też się uskarża, iż nie udało mu się wychować modlisząt.

Skolopendrę, przypominającą wielką gąsienicę, długości dłoni, rudą, o twardej skórze, że obcasem trudno jej coś zrobić, a biegającą ogromnie szybko na niezliczonych nogach, widziałem w ciągu czterech lat raz jeden. W początku marca, wieczorem, złożyła mi wizytę, wlazłszy do pokoju. Nie byłem zachwycony, bo widziałem osoby, po których spacerowała w nocy: miały skórę jakby poparzoną. Truciznę ma w swoich łapach.

Prawdziwą plagą Algieru są komary, drobniutkie muszki, kłujące jak komary i polska szara mucha o pyszczku, jak żądło. Zjawia się ona w Polsce jesienią, a tu, niestety, gości przez rok cały. Komary wywołują malarję, a nawet są takie, komary cętkowane, które sprowadzają febrę żółtą. Na szczęście dotąd nie było w Algierze chorego na tę straszną chorobę. W Kongo belgijskiem rząd walczy z komarami, karząc każdego murzyna, w basenie którego znajdzie liszki komarów. Tu nic się nie robi pod tym względem. To też spać można w nocy tylko, jeśli łóżko jest przykryte gazą. Ale trudno spać przy upale 30 stopni C. Na południu Algerji, na granicy Sahary, w Biskrze naprzykład, gdzie temperatura w lecie dochodzi do 50 stopni C, europejczyk już nie śpi, lecz drzemie tylko, łykają co chwilę lód.

Do bardzo ciekawych okazów fauny entomologicznej Algerji należą szare wielkie pasikoniki. Gdy taki jegomość wyfrunie znienacka z pod nóg ma się wrażenie, że to spłoszony ptak, coś w rodzaju wróbla. Jest tej wielkości i tak głośno i wysoko lata. Nie przeszkadza to jednakże, że modliszka jego wzrostu zjada go w ciągu pół godziny.

Prawdziwą niespodzianką dla przyjezdnych są t. zw. czołgające się ogórki. Pamiętam moje zdziwienie, kiedy z koszyka, w którym przywieziono z targu kapustę, marchew i inne jarzyny, wylazł naraz gruby, piękny, zielony ogórek i zaczął umykać pod stół. Po bliższej dopiero obserwacji dostrzega się, że jest to coś także z rodziny pasikoników zielonych, tylko bez skrzydeł i zupełnie z kształtów, grubości i wielkości przypominającego ogórek, któremu wyrosły nogi. Wielkiemi amatorami tych „ogórków" są koty, które stale na nie czyhają w ogrodach. O piewikach, wielkich muchach, jak dobry bąk polski, a śpiewających podczas upałów chórem, że, wydaje się, jakby szyto na maszynach, już pisałem.

Na zakończenie tej notatki entomologicznej muszę powiedzieć jeszcze słów parę o mrówkach. Specjalista w tej dziedzinie znalazłby tu swe szczęście. Pierwszeństwo należy się wielkiej rudej mrówce z zadartym do góry odwłokiem. Żywi się owadami, więc zasługuje na opiekę. Widziałem kiedyś, jak złapawszy muchę, podążyła z nią prosto przed siebie. Poszedłem za nią i znalazłem o 50 metrów odległe mrowisko, do którego szła, ani razu nie zboczywszy. Inne gatunki: mrówka wielka czarna i mała ruda winny być tępione bezwzględnie, bo są to złodziejki, które pożerają wszystko. Jedyny sposób ochronienia przed niemi żywności, jest wstawienie jej do naczynia z wodą. Są też i poczciwe polskie pchły, ale tak małe, że nie odrazu się rozpoznaje starą znajomą. Nie przeszkadza to jednakże, iż psy i koty cierpią od tych karłów nie mniej, niż ich polscy koledzy.

J. de Saint-Laurent.

BUDOWNICZY ŁODZI PRZEMYSŁOWEJ

Książka romantyka o Rajmundzie Rembielińskim)*

Autorem tej oryginalnej książeczki jest Michał Chodźko, literat i żołnierz, nieulękły emisarjusz Wielkiej Emigracji, dozgonnie wierny ideałom młodości.

W obszernej przedmowie, pisanej w maju roku 1861, czcigodny weteran rewolucji pod wrażeniem ówczesnych wypadków warszawskich „łączy się w modlitwie z ludem polskim, podnosi ducha do miarotonu, jakim on jęknął do Boga". Patetycznie mówi autor o tragedji Polaków, tragedji klęski, błądzenia i tęsknoty, o cudach wiary i o duchu demokracji; czar uniesień romantycznych bije z pożółkłych kart... Ale jest na tych kartach także opowieść o rzeczywistej ojczyźnie; Chodźko podaje zarys swej historjozofji, aby dać tło i światło człowiekowi pracy organicznej, „żywotowi wzorowego urzędnika w pośród społeczeństwa ,w którem jeszcze urząd uważano względnie, nie uważając odpowiedzialności urzędnika podług surowości prawa, a raczej podług osobistych stosunków i rodzinnych związków w społeczeństwie". Tym urzędnikiem jest **Rajmund Rembieliński,** niewątpliwy założyciel Łodzi przemysłowej. Dane biograficzne z tej pierwszej (i ostatniej do chwili obecnej) pracy o Rembielińskim chcę tu podać w tem przeświadczeniu, że wszystkie jej prawdy i błędy zasługują na uwagę dzisiejszych badaczy, a do czasu ogłoszenia źródłowej pracy o tym wybitnym mężu — muszą być respektowane przynajmniej tak, jak odpowiednie stronice pamiętników Koźmiana.

* * *

Urodzony w roku 1774 czy 1775. Kształcił się w korpusie kadetów i skończył kurs nauk ze złotym medalem w roku 1790. Był już wtedy od lat ośmiu sierotą; opiekun jego i ojczym — Marcin Ledochowski odumarł go niebawem. Młody Rajmund stał się wcześnie głową rodziny i administratorem rozległych dóbr.

Wypadki roku 1794 oderwały młodzieńca od sprawy pługa i cepów; Rajmund stał się organizatorem powstania w ziemi wiskiej, prowadził podlasiaków ku Warszawie i był pod Radoszycami w dniach klęski ostatecznej. Potem w ciągu lat kilkunastu Rembieliński gospodarował na wsi, pisał dramaty (w roku 1804 wystawiono w teatrze warszawskim sztukę p. t. „Hrabina Salisburg"), i uczył się zasad ekonomji, prawa i rządu. We wrześniu 1807 Stanisław Małachowski powołał go do służby administracyjnej na odpowiedzialne stanowisko prezesa Rady Administracyjnej okręgu białostockiego i łomżyńskiego. Niebawem Rembieliński zostaje prefektem departamentu płockiego i w krótkim czasie wybija się na czoło młodej biurokracji polskiej.

W maju 1809 na wniosek ks. Józefa Poniatowskiego Rada Stanu Księstwa Warszawskiego mianuje Rembielińskiego szefem administracji ziem zaboru austrjackiego, zajętych przez wojska polskie.

Na tym trudnym posterunku Rembieliński wytrwał do końca, pomimo ostrych konfliktów z wielkopańską reprezentacją szlachty galicyjskiej.

Po pokoju preszburskim wrócił do Płocka i z niesłabnącą energją kierował administracją departamentu; wielki czciciel prawa — umiał pouczać ministrów o obowiązku działania prawnego, a w dyskusji na temat organizacji władz administracyjnych ,skarbowych i sądowych brał żywy udział; w tym czasie wydał kilka rozpraw fachowych. Rok 1812 był nowym bodźcem dla niepospolitej energji i woli Rembielińskiego. Wielkim zadaniom kwaterunku i aprowizacji korpusów armji Napoleona bez pognębienia ludności departamentu podołał w zupełności; zyskał tak że przyjaźń wicekróla włoskiego Eugenjusza, który mu niebawem karjerę w służbie włoskiej zaproponował. Po klęsce wojsk Cesarza prefekt płocki umiał postawić 3 tysiące pospolitego ruszenia i zadziwić wszystkich swą gorliwością. U boku księcia warszawskiego przebywał — aż do ewakuacji Drezna po niepowodzeniach francuskich; złożony chorobą pozostał w Dreznie i stamtąd zawiadomił swego monarchę, że przyciśnięty niedostatkiem, wraca do Księstwa do swych opustoszonych wsi.

Komisja rządowa spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego powołuje Rembielińskiego, już uwolnionego manifestem króla saskiego od przysięgi na wierność, do służby państwowej i mianuje go prezesem komisji województwa mazowieckiego — wielkiego obszaru, z siedzibą w stolicy. Umocniony na tem stanowisku i ceniony przez Zajączka i Mostowskiego, Rembieliński w ciągu 15 lat rządził i budował. Szczęśliwy u siebie w domu (w Jedwabnem i Krośniewicach), uczestnik wielkich dyskusyj w Radzie Stanu, marszałek Sejmu w roku 1820, autor rozpraw głośnych i czytanych, przeżywał surowy a sprawiedliwy Prezes swój wiek najpiękniejszy. Wtedy właśnie przeprowadził on w swem województwie wspaniały plan uprzemysłowienia okolic Łęczycy i oglądał niecierpliwemi oczyma owoce swego trudu, tysiączne, stutysiączne postawy sukna i sztuki płótna oraz wszelakiej bawełnianej tkaniny.

Wypadki listopadowe nie odebrały Rembielińskiemu odwagi i samodzielności; przesłał on Chłopickiemu memorjały o wojennem urządzeniu kraju i o magazynach żywności dla wojska. Przez czas krótki był najpoważniejszym kandydatem na ministra spraw wewnętrznych; utrącony przez wrogów, ucieka z kotłowiska intryg. Sprawa magazynów żywnościowych dla wojska (zwyciężył w otoczeniu Dyktatora projekt zakładania składów na prawym brzegu Wisły) pozbawia go zupełnie wiary w możliwość zwycięstwa. Złamany duchowo i fizycznie, złożył urzędowanie w województwie i wyjechał do Saksonji. Tam, na obczyźnie, napisał obszerną pracę o chłopach; motywował w niej szeroko i rzeczowo prawo chłopów do własności gruntowej.

Wrócił Rembieliński do Warszawy w marcu 1832 roku i objął urzędowanie. W sierpniu tego roku został „oddalony od służby" ukazem carskim; przyczyną gniewu Mikołaja była kategoryczna postawa Rembielińskiego w sprawie konfiskaty dóbr powstańców w województwie Mazowieckiem.

Ostatnie lata życia spędził niezłomny urzędnik na wsi, w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Zmarł dnia 12 lutego 1841 roku.

* * *

Streszczony tu szkic Michała Chodźki nie wyczerpuje sprawy, a nawet nie wyjaśnia jej. Bohaterem tej książeczki jest człowiek wyjątkowo mocny i samodzielny; w latach rozmaitych mroków politycznych i moralnych idący własną drogą. Chodźko nie mógł zaspokoić ciekawości swojej i swych czytelników, bowiem niedostępne dlań były i zamknięte na sezamowe spusty archiwa krajowe oraz rodzinne w kraju po Rembielińskim papiery. Dlatego Chodźko na insynuacje Koźmiana odpowiada pismem Gerlicza, a szczegóły o przemyśle podaje w przypisku, cytując obszerną notatę, nadesłaną mu przez anonimowego z kraju informatora.

Postać Rembielińskiego w świetle tego szkicu staje się pociągająca: niepokoi, dręczy, imponuje, budzi współczucie i podziw.

Na wyjaśnienie czekają ważne szczegóły życia prywatnego: sprawa majątkowa i sprawa powtórnego małżeństwa (1819 r.) z młodą i piękną Antoniną Welz.

Ale przedewszystkiem domagają się wyświetlenia zaledwie poruszane tu i ówdzie w historjografji naszej (od Mochnackiego i Koźmiana poczynając) trzy kapitalne sprawy: rola Rembielińskiego w roku 1809 na urzędzie Generalnego Intendenta Wojsk, w epoce Królestwa na urzędzie prezesa wojewódzkiego i w pierwszych tygodniach powstania listopadowego, gdy prezes chciał wziąć na swe barki nieomal połowę ciężaru dyktatorskiego.

Jeżeli badania źródłowe nie ujawnią okoliczności i spraw ujemnych ,a obecnie zupełnie nieznanych, to będzie można zaliczyć Rembielińskiego do najdzielniejszych w narodzie sług prawa. Ów pracownik niezmordowany a chłodny, ambitny a rzetelny, ów krewniak Ostrowskich i Skarżyńskich, a brat przyrodni Jana Ledóchowskiego ,który forsował detronizację Mikołaja, ów bezwzględny krytyk, uciekający przed bezczynnością w rewolucji narodowej do rozmyślań o chłopie, ów poddany Mikołaja, wzywający Paskiewicza do szanowania konstytucji, ów protektor fabrykantów i kupców, wracający zawsze z tułaczych szlaków do swoich włości, z dróg wzniosłego umierania na drogi niezłomnej wegetacji, — Rajmund Rembieliński będzie symbolizował pewne siły w narodzie: siły ogniw, wiążących górne tysiące z dolnemi miljonami.

Dla tych, którzy chcieliby zbierać materjały do biografji Rembielińskiego dobry to jest prognostyk, że wyprzedził ich w tym trudzie o lat 65 romantyk, który „gonił całą duszą za każdym dźwiękiem narodowego życia, który „zbierał wonne te kwiaty i ubierał w nie ołtarz przyszłości narodowej".

Zygmunt Lorentz.

*) Żywot Rajmunda Rembielińskiego przez Michała Chodźkę. Paryż, 1862. Str. XIV † 79. Portret.

Nasze uzdrowiska pod ochroną ustawy paszportowej

ZAKOPANE

Gdyby ludzie nie zażywali tabaki, to nie wyrabianoby tabakierek. Gdyby ludzie nie odczuwali konieczności wypoczynku lub kuracji, to nie mogłyby istnieć miejscowości, zaspokojeniu tych potrzeb służące.

Tak. — Zakopane bardzo potrzebuje gości. Potrzebuje ich dużo, potrzebuje ich pieniędzy, musi ich więc sobie zdobywać. Dopomaga mu w tem państwo przez ulgi kolejowe, dopomaga mu maksymalny cennik dla pensjonatów i hoteli, głównie jednak dopomaga mu wysoka cena paszportów zagranicznych, usuwająca konkurencję uzdrowisk obcych.

Jednakże w Zakopanem niewiele myśli się o tem, że czynniki te, które nawet w złym podobno ukończonym obecnie sezonie ściągnęły tłumy przyjezdnych, nie będą działały wiecznie, że musi przyjść czas, kiedy paszporty stanieją, że więc trzeba dbać o to, aby ci tak niezbędni dostawcy pieniędzy mieli ochotę do Zakopanego powrócić.

Pomyślała o tem najlepiej sama natura, hojnie wyposażając Zakopane w największe zalety miejscowości sportowo-klimatycznej. Tatry są niezrównanie piękne, tak piękne, że nie można tego pojąć z opisu — trzeba je zobaczyć.

Pomyślały o tem również władze państwowe, stworzywszy urząd komisarza przy zarządzie uzdrowiska. Dzięki temu komisarzowi obserwować można pewne postępy, zwłaszcza, gdy się przez kilka lat już w Zakopanem nie było. Dawniej kuracjusz opłacał taksę klimatyczną ,a za to ludność zakopiańska nie potrzebowała płacić za swe szkoły, szpitale i t. p. Obecnie za wpływy z taksy założono mikroskopijny wprawdzie, ale ładny park z placem zabaw dla dzieci; w parku grywa dwa razy dziennie orkiestra wojskowa; kupiono samochód do polewania ulic, który z częściowym skutkiem walczy z kurzem na głównych ulicach Zakopanego i drodze do Jaszczurówki; pokryto płytami jeden chodnik na Krupówkach, nad czem pracowano kilka lat. (Drugiego jeszcze nie rozpoczęto).

Myśli też o stworzeniu przynęt dla zakopiańskich kuracjuszy Karol Stryjeński. Człowiek ten oddał się całkowicie trosce o zrobienie z Zakopanego pierwszorzędnej miejscowości o szerokim zakroju. On stworzył skocznię narciarską na Krokwi, jedną z największych na świecie; on stworzył plan regulacyjny Zakopanego i szkołę zdobnictwa; on pracuje nad założeniem w Jaszczurówce wielkiej pływalni, zasilanej wodą ze źródła cieplicowego, którąby w zimie była dobrą ślizgawką i terenem zawodów hockey'owych, curlingowych, łyżwiarskich; on projektuje utworzenie „gminy artystycznej" na Harendzie, by ściągać do Zakopanego naszych wybitnych twórców, którzyby tam pisali i tworzyli, tak, jak to czyniło już tylu ich wybitnych poprzedników, i którzy dopomogliby do utrzymania tego duchowego znamienia, którem Zakopane się szczyci. Tak to myśli o Zakopanem Stryjeński. Zwykłym u nas trybem, zaczynają oczywiście pod nim dołki kopać, nie przebierając w środkach. Kierowane zawiścią nieznane bliżej indywidua nie zawahały się nawet sięgnąć brutalnemi łapami do prywatnego życia Karola Stryjeńskiego: do jego pożycia małżeńskiego, rozsiewając wieści, które słusznie przejęły oburzeniem wszystkich uczciwych przyjaciół zasłużonego męża i jego wybitnej małżonki.

Są więc przeróżne plany podnoszenia poziomu Zakopanego w celu uprzyjemnienia pobytu przyjezdnym. Plany na daleką przyszłość, prawie że nierealne. Plany, spełnienie których więcej nastręcza trudności, niż możliwości. Plany, wychodzące ze strony władz państwowych i komunalnych.

Ale inicjatywy prywatnej nie widać wcale . Raz, bo jej niema wiele, a powtóre, bo jest paraliżowana.

Buduje się dużo, ale buduje się źle, tandetnie. Bo czyż można amortyzować drogi, z pewnym komfortem wykończony budynek, gdy egzystuje cennik maksymalny? Toż pensjonaty mają najwyżej 150 dni, w ciągu których pobierać mogą tę najwyższą zapłatę i mieć wszystkie pokoje zajęte. Poza tym okresem ceny są niższe i pensjonaty puste. Ceny na rynku artykułów spożywczych zmieniają się, wzrasta nawet taksa klimatyczna, a ceny pensjonatów są usztywnione. A amortyzować trzeba szybko, bo gdy paszporty stanieją, to i w sezonie może nie być pełno. Zjadą taternicy i chorzy, nie mogący znieść dalszej podróży, ale niewiele kto więcej — o ile nie zdoła się szerszego ogółu do Zakopanego przywiązać. A temu celowi mało służy to, że pensjonaty oszczędzają na służbie, na jedzeniu, na czem się da. Wspomnienia o tem nie będą stanowiły zachęty do powrotu do Zakopanego.

Brak dobrej usługi daje się odczuć wszędzie. Szofer auta-dorożki nie odrywa się od czytania gazety i nie zmienia pół-leżącej pozycji, gdy ktoś się doń zwraca z zapytaniem, na które niemrawo odpowiada monosylabami. — „Ile kosztuje jazda do Kuźnic?" — „Siedem". — „Przecież taksa jest pięć?" — „Nie!" — i czyta sobie dalej swoją gazetę.

We wszystkich lokalach jest za mało kelnerów czy kelnerek, przytem w usługiwaniu mają jakiś system, uniemożliwiający otrzymanie tego, po co się do lokalu przyszło. Po godzinie czekania na właściwego kelnera (bo niewłaściwy, choćby nie był wcale zajęty, nawet palcem nie ruszy dla gościa z obcego rejonu stolikowego), zamawia się kawę i dwa ciastka drożdżowe. Po drugiej godzinie otrzymuje się kawę i dwa ciastka z owocami. Drożdżowych zabrakło. Ale tych owocowych oddać nie można: bufet zwrotów nie przyjmuje. (Zwracać wolno chyba tylko to, co się już zjadło. A zdarzyć to się może łatwo, bo wszystko jest bardzo złe i podane w sposób daleki od czystości i higjeny). W tak miłej i mającej świetne tradycje dobrej zabawy i humoru restauracji Karpowicza gość jest o tyle tylko lepiej traktowany od psa, że go stamtąd nie wyrzucają. Ale jeżeli się doprosi, żeby kelner przyjął zamówienie, to dowie się, że to, czego pragnie, będzie za godzinę, albo, że było przed godziną, ale już „wyszło". Przeważnie musi sam sobie wszystko przynosić z kuchni i bufetu. A jeżeli się chce komuś poskarżyć, to patrzą nań pobłażliwie, jak na warjata. Jeżeli chce zapłacić, to najlepiej niech udaje, że chce wyjść, nie płacąc. Wówczas kelner go chwyta przy wyjściu. Jest to o wiele mniej przykre, niż kilkugodzinne szukanie kelnera po całym lokalu z kuchnią włącznie i dopraszanie się, by raczył przyjąć zapłatę.

Kelnerzy są oburzeni, że u nas goście tak się zawsze śpieszą. Ale przecie jest się po to w Zakopanem, żeby chodzić, używać słońca, korzystać z pobytu, a do restauracji wchodzić po to tylko, żeby zjeść, zapłacić i wyjść, a nie wyczekiwać godzinami czyjegoś zmiłowania.

Widać wszędzie brak organizacji, brak głowy, brak kupieckiego rozumu. Służby albo mało, albo niezorganizowana. Dezynfekują pokój po każdym gościu formaliną, za co gość płaci 8 zł., ale jeżeli pociągnąć przypadkiem za mocno szufladą, to za nią znajduje się fury antycznego kurzu — rozkosznego żeru dla drobnoustrojów . Są tylko dwa prywatne place tenisowe porządne i jeszcze ze cztery, też prywatne, które mogłyby duży dawać dochód, ale leżą odłogiem i są nie do użycia.

Mało, bardzo mało widać myśli i pracy we wszystkich poczynaniach. Mało, minimalnie, widać starań o dobro i zadowolenie kuracjusza, który często, zwłaszcza w pełnym sezonie, traktowany jest nie jako pożądany gość, lecz jak uprzykrzony natręt.

I, naprawdę, co to będzie, gdy paszporty stanieją?

żab.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

MORDERCZYNIE

Dwie nowe powieści francuskie

II.

Adrienne Mesurat par Jullien Green

I Anna Mesurat jest mieszkanką prowincji. Wcześnie osierocona przez matkę, wzrosła między ojcem despotą i starszą od siebie o lat kilkanaście, siostrą suchotnicą. Natura to zamknięta w sobie, milcząca, trochę dzika. Nikt jej nie zna i nikt jej nie kocha — nikt nie pragnie poznać jej, ani się do niej zbliżyć. Ani ojciec, tyran domowy, egoista tępy, nieuznający żadnych zainteresowań, prócz własnych zwyczajów i rozrywek, żadnych ukochań — prócz siebie — ani siostra, której przeszłość krwawi jakąś tajemniczą raną, a teraźniejszość — to ta kanapa pod oknem, na której trawi teraz suchotnicze dnie. Adrjanna jest piękną — wie o tem, ale cóż jej po tem? Jest niewinną i nieświadomą życia, a kipi w niej tajna jakaś, niepojęta, nieustannie hamowana siła. Siła ta ani wybuchnąć nie może, ani zwrócić się w jakimkolwiek określonym kierunku... Wzlotów — dokąd? Wszelkie okno na świat ideału, zabite, zamurowane szczelnie. Życia wewnętrznego?.. Czemże jest religja, jeśli nie pustem, nudnem zachowaniem form! Miłości? Jakżeby zabłąkać się mogła w tę zimną pustkę, która jest domem Adrjanny, gdzie nawet nie zakwitł najskromniejszy kwiat rodzinnych uczuć. Adrjanna lęka się ojca — a nie znosi gderliwej i surowej siostry... Brzydzi się jej chorobą i w swem egoistycznem, bujnem zdrowiu drży przed zarazą...

Oto środowisko — oto „dom", gdzie więdnie młode życie.

Nagle — wstrząs. Pewnego wieczora, gdy niosąc wielką wiązankę kwiatów, wracała drogą do domu, minął ją powozik. Padło na nią roztargnione spojrzenie. Na moment spoczęły na niej z zaciekawieniem wielkie oczy, zwróciła się ku niej schorowana twarz. Machinalny ukłon. To „nowy doktór", niedawno przybyły do miasteczka, najbliższy sąsiad willi państwa Mesurat.

To spotkanie przelotne, stanowi punkt zwrotny w życiu Adrjanny. Jakby jakaś zasłona nagle zerwana, z własnej, tajemnic pełnej duszy... Jakby padł w tę duszę snop żarzącego światła. Wszystko mieni się tam, drży, żyć pragnie... Tęczowych barw nabrała szara jednostajność dnia... Rozkoszna, a bolesna *tajemnica* wypełniła pustkę... Jest o czem marzyć, jest czego pragnąć... życie ma cel.

Przesada? Nigdy. Nie obserwacja nawet. Zdumiewająca, w dwudziestoletnim chłopcu, jakim jest Green, intuicja psychologji dziewczęcej, intuicja tych natur potężnie zmysłowych, a obdarzonych jednocześnie imaginacją twórczą, która potrafi świat cały stworzyć i zaludnić. Dusz płomiennych, które w wielkiem ukochaniu rozbłysnąćby mogły, w całopaleniu ofiarnem spopielić się... a trawią się własnym ogniem. Przeżywa Adrjanna tajemnicę swoją... Gdy siostra, ta chora Żermena opuszcza rano pokój swój na drugiem piętrze, dziewczyna biegnie tam i, do połowy wywieszona z okna, zapuszcza chciwe oczy w otwarte okno sąsiedniego domu, gdzie dojrzeć można kąt biurka... Wieczorem zaś, wysuwa się na drogę, czekając, czy nie przejedzie znów ten powozik jedyny...

Ale przed zawistnemi oczyma starej panny nic się nie ukryje, nic nie utai się przed jej przenikliwością złośliwą. I *tajemnicę* Adrjanny wykryła... ostrzegła ojca przed niebezpieczeństwem. Koniec. Zamknięta na klucz furtka od ogrodu. Wzbroniony wstęp do pokoju siostry. A codzień, po kolacji, aż do chwili spoczynku, obowiązkowa partja kart w nienawistnem rodzinnem gronie, między siostrą, która mści się nad tą tryskającą młodością za swoje zmarnowane życie — a ojcem, brutalnie akcentującym swą władzę, samodzierżcą w miniaturze. Płyną dni męki, w których dusi się i pręży młode ciało, a to, co było złudą, majakiem, podnieceniem chwilowem staje się wszystko pochłaniającą rzeczywistością. Miłość Adrjanny do nieznajomego doktora, jest, w istocie, namiętną żądzą wyzwolenia. Przeszkody — rodzą nienawiść.

Toczy się tak ciężka ponura tragedja, bez słów i gestów, pośród tych trojgiem wrogów, spętanych kajdanami związku krwi i porządku społecznego. Ale zdrowie Żermeny pogarsza się szybko. Despota ojciec nie chce wezwać lekarza, nie chce nawet pozwolić na niezbędne oszczędzanie gorączką trawionego ciała. Więc sojusz między siostrami! Młodsza ma odwagi dość, — posiada trochę zaoszczędzonej gotówki: wykradnie nocą klucz od furtki z ojcowskiej kieszeni — dopomoże chorej uciec do domu zdrowia. Litość? gdzietam! mrożący strach przed zarazą i wizja zajęcia pokoju, z którego okien patrzeć można w *tamte okna*.

I wszystko udaje się w zupełności... tylko, jak łatwo dojść prawdy w maleńkiej mieścinie! Więc wieczorem zjawia się ojciec w pokoiku Adrjanny, na drugiem piętrze, na które wiodą, wprost z sieni o kamiennej posadzce, strome, niewygodne schody. Ojciec wie o wszystkiem... i to, że Adrjanna dopomogła siostrze do ucieczki i czemu to uczyniła... Ale niedoczekanie jej! Nie zajmie upragnionego pokoju. A ojciec jutro pójdzie do tego gacha, który, prawdopodobnie, świadomie wyzyskuje głupotę bogatej dziewczyny! I powie mu słowa prawdy... A tymczasem... Rozlegają się głośne policzki — nic jednak nie może wyrwać osłupiałej Adrjanny z milczenia... Starzec wychodzi na schody, a ona wybiega za nim, zatrzaskując drzwi od swego oświetlonego pokoju. Ciemność... Adrjanna słyszy zmieniony głos ojca na schodach... Biegnie w stronę tego głosu, całym ciężarem silnej postaci swojej rzuca się w ciemności na plecy tego człowieka, który znęcał się nad nią przed chwilą. Zachwiała się... uchwyciła się mocno poręczy... a na schodach nagły krzyk i stuk. Zaś po chwili dygocące ramię, wyciągnięte nad poręczą schodów, lampa w kurczowo zaciśniętej dłoni... i blask od tej lampy oświetlający straszliwym kręgiem to coś strasznego, rozpłaszczonego na dole, na kamiennej posadzce...

A nikogo niema w domu — bo służąca tylko na dnie przychodzi. Nikogo prócz Adrjanny na drugiem piętrze — i tego czegoś strasznego, co leży tam, na dole, przy schodach...

Oczywiście — nikt nie wie. Oczywiście — nikt się nie domyśla. Wypalona doszczętnie nafta w lampie? Nieprzytomny krzyk dziewczyny w nocy, przez otwarte okno: ratunku!? Nikt tego krzyku nie słyszał... Nikt nie wie. A przecież oblepia się w około Adrjanny, śliskie błoto małomiejskiej plotki. Chwytają ją, jak w kleszcze, jakieś potworne macki, tem straszniejsze, że niewidzialne. Każda chwila niesie lęk. Każda chwila niesie przeświadczenie, że wiedzą. Wiedzą tem dokładniej, im ona wie mniej. Wie, ta jedyna znajoma, sąsiadka z pobliskiej willi, która okazuje dziewczynie czułość, opiekę. Wie — bo słyszała krzyk dziewczyny tej nocy. I Adrjanna wie, że ta dobroduszna, niedawno przybyła pani, to zwyczajna prostytutka, spędzająca tu czas wolny między jednem a drugiem *zajęciem*... bojkotowana przez całe, cnotliwie nadęte miasteczko. A choć i w Adrjannie burzy się tradycja mieszczańskiego rodu, odezwać się nie może, bo ta kobieta *wie*...

I przychodnia służąca... i właścicielka sklepiku... Mówią, milczące usta. Smagają spojrzenia. Wzmaga się dziwny stan pół-jawy, pół-snu, nieustannego bólu głowy... Wzmagają się straszliwe bóle głowy, omdlenia, szum i lęk... lęk nieustanny, a w tem wszystkiem żrące pożądanie człowieka, którego widziało się raz w życiu — a który jest osią istnienia — przy którym byłoby ukojenie.

Oto sposobność pomówienia z nim. Przychodzi, po ponownem, ciężkiem omdleniu Adrjanny, wezwany, jako lekarz, przez usłużną sąsiadkę. Jest sam z dziewczyną. I on *wie*. Ale on *mówi*. — „Jak pani zabiła ojca?" I szept cichy, po raz pierwszy wypowiedziana tajemnica: „zepchnęłam go ze schodów..."

A potem wyznanie, rozpaczliwe, niezrażone niczem, a tak rozdzierająco młode w szlochającej szczerości swojej. „Mam 27 lat więcej od pani, może pani pokochać innego".

— „Pocóż tak mówić, kiedy kocham pana!"

— „Mąm — i tu łamie się głos mężczyzny — śmiertelną chorobą serca! Umrę za dwa lata..."

— „Umrę z panem!".

Lecz padają okropniejsze słowa: „Ja nie kocham pani, panno Mesurat". Wówczas milczenie... pustka... grób...

I co znaczy wizyta siostry, doktora, jej wymówki, obelgi, groźby! Co wszystko teraz może znaczyć! Szereg godzin odrętwienia... tłum myśli, które pędzą, skaczą, tłum niknących, mętnych obrazów i zmechanizowane ruchy... i oczy szeroko rozwarte, puste... „puste, jak oczy człowieka, któremu podniesiono powieki w czasie snu..." Skrzyp otwieranej furtki...

Adrjanna wyszła z domu. W miasteczku święto ludowe, race, tańce... Adrjanna idzie przed siebie, zafrasowana... gestykulując żywo i szepcąc zawzięcie — już nie będę jej zamykać... nie zmuszę do grania w karty... Nagle na widok mijającej jej, obcej kobiety, wybucha gradem najohydniejszych wyzwisk, wyrazów plugawych, których nigdy przedtem nie wymówiły jej usta... a chwilę potem, zdjęta nagłą trwogą, przyśpiesza kroku... mija miasteczko... już jest na szosie... W sąsiedniej wsi zatrzymują ją ludzie. Kim jest? Skąd, dokąd idzie?.. Nie wie... nie pamięta nic.

* * *

Charakterystyczną cechą obydwuch tych książek, jest brak wszelkiego jaskrawego lub melodramatycznego tonu. Wszystko odbywa się w półmroku zwykłej, *rodzinnej* atmosfery tych ludzi. I właśnie ta atmosfera zwykłości, ten umiar, ten ton zimnej obserwacji, to potęga tych powieści — i ich groza.

O prawdziwości tych środowisk i tych typów wątpić niemożna. Podpatrzeni są żywcem. Wypadki takie zdarzają się. W ohydnej nagości występują ponure tragedje codziennego życia w środowiskach uchodzących za cnotliwe i zdrowe.

Ale poza tą jedyną wspólną cechą, którą stanowią bezstronność i artystyczny umiar obydwuch pisarzy — jakaż różnica w traktowaniu tematu! Franciszek Mauriac, zaznacza zaledwie, niedopowiada, tu i owdzie silniejszem pociągnięciem mistrzowsko podkreślając ton, nagłym, przelotnym blaskiem oświetlając wnętrze psychologiczne ludzi, których tworzy. W tragedji Teresy niema lęku, niema wyrzutu i to, co się dzieje jest jakby racjonalną konsekwencją psychologji bohaterów, rozwinięciem wypadków. Żadnej w autorze litości, żadnego potępienia. Teresa kończy, jak kończyć musi Rodzina Desqueraix prędko przejdzie do równowagi nad „incydentem", który, przez chwilę, wstrząsnął ich egzystencją.

Co innego Green. Ten dwudziestoletni, a dziś już sławny autor, pragnie również odzwierciadlić z zupełną objektywnością środowisko, do którego nas wprowadza — ale młodość żąda bezpośredniej pobudki do zbrodni — i żąda kary. Obłęd Adrjanny jest niejako okolicznością łagodzącą — jest i ekspiacją. A czytelnik, który ze zdławionem sercem śledził jej los okropny, odchodzi z uczuciem ulgi.

Wniknąwszy jednak głębiej w obie te zbrodnie, przekonamy się, że nie *one* zdejmują nas grozą, ale *tło*, na którem powstają. Kto tu czuje, kto myśli, kto kocha, kto pragnie, kto dąży do czegokolwiek? Czem związani są ci ludzie ze sobą, choć są rodziną — czem ze społeczeństwem? Ciasnota pojęć i brak wszelkiej wyrozumiałości, zastępują cnotę, forma — religję. Zachłanny egoizm zbiorowy i indywidualny tworzy i burzy. Uczucia są instynktami. W bezmyślnem zbliżeniu ciał — płodzi się dzieci. W bezmyślnem użyciu — tworzy się i marnuje życie. Żadnego ukochania, żadnej trwogi, żadnego wysiłku. Grzęskie trzęsawisko maleńkich interesów surowych i bezlitosnych sądów, oziębłość i nędza wewnętrznej pustki: oto domy, które nam, obaj po mistrzowsku, ukazują Mauriac i Green.

A gdy odłożymy te, przepysznie napisane, a niewymowny smutek zostawiające książki, przychodzi nam trwożna refleksja: *czy tylko na prowincji francuskiej znajdują się środowiska takie?*

Jaki cel ma publikowanie powieści o tak tragicznym temacie? Jaki cel — poza celem artystycznym? Czy ukazanie ich jednoczesne niemal, uważać należy za objaw pożądany? Czy wywierają wpływ ujemny, czy dodatni?

Otóż identyczność środowisk, a pokrewność sytuacji i typów (tyraństwo mężczyzny, pustka duchowa, brak *idealnego* podłoża, a raczej brak zespolenia rodziny w jakimkolwiek ideale, egoizm i oschłość) — wskazują, że środowiska takie istnieją, że są liczne, że są głęboką a istotną przyczyną rozkładu społecznego. Sam fakt poruszenia jednocześnie przez dwuch autorów tematu tak niezwykłego, jak zbrodnia, dokonana przez kobietę, członka „znanej i cenionej" rodziny, dowodzi, że gdzieś, w sferach niewidzialnych i niedostępnych uderzono na alarm, a czujne ucho artystów pochwyciło głos tego dzwonu.

Anna Leo-Rose.

(Genewa)

MASKA.

Zajechał w pozłacanej, poszóstnej kolasce
I rzucał w ślad po kołach najprawdziwsze złoto,
Dziwne, że był ów panek incognito w masce
Lecz kiedy rzuca złoto, któżby pytał o to.
Obwołali go świętym, wnieśli na piedestał,
Poświęcili za życia, chociaż żyć nie przestał.

A kiedyś, gdy historja weźmie instrumenty
I zacznie ważyć serca, sumienia i cnoty,
Ujrzycie, że ów święty, to tylko wydęty
Balon głupstwa z obliczem pod maską idjoty.
Czyż lepiej nie posiadać poszóstnej kolaski,
A twarz mieć, która obyć się może bez maski!?

Qui-qui-

U nas i gdzieindziej

Zmarł w Warszawie po długiej chorobie płucnej artysta teatrów miejskich ś. p. Karol Rdzawicz w 33-im roku życia. Zmarły artysta pozostawił po sobie wspomnienie wzorowego pracownika teatru i nieposzlakowanego charakteru człowieka.

*

Powieść regjonalna nie święci jeszcze u nas triumfów takich, na jakie bezsprzecznie zasługuje. Może dlatego, że wybitne talenty bądź ją lekceważą, bądź też uważają, że regjonalizm obejmuje zbyt wązki horyzont dla ich twórczości. Ostatnio ukazała się powieść na tle stosunków kleru polsko-litewskiego literata wileńskiego, Antoniego Millera p. t. „Powołanie". Niestety zalet literackich trudno się w niej dopatrzeć.

Notujemy więc ukazanie się powieści z obowiązku kronikarskiego i dla wskazania, iż ta przebogata gałąź literatury regjonalistycznej usycha w zaniedbaniu.

*

Na inaugurację działu dramatycznego w teatrach miejskich we Lwowie wybrano Słowackiego „Księcia Niezłomnego" w reżyserji Trzcińskiego, inscenizacji Osterwy, z ilustracją muzyczną Dołżyckiego. Rolę tytułową odtworzył Osterwa.

Na bawiących we Lwowie, na Targach Wschodnich, korespondentów pism zagranicznych z Berlina całość przedstawienia wywarła potężne wrażenie. Korespondent dzienników angielskich Raynold, oświadczył, że w Berlinie nie widywał nigdy przedstawienia równie sharmonizowanego i we wszystkich szczegółach wykończonego, jak lwowska reprezentacja arcydzieła Calderona - Słowackiego.

*

Najbliższą premjerą teatru Letniego będzie komedja „Moja Maleńka" świetnej spółki aktorskiej Nicodemi'ego i Mirande'a. „Moja Maleńka" zdobyła sobie wielki sukces na zagranicznych scenach. Główne role kreować będą pp.: Majdrowiczówna i Lenczewski.

*

Teatr Polski przygotowuje jako najbliższą premjerę, pod kierunkiem K. Borowskiego, słynną sztukę Wiktora Sardou „Fedora" w nowym przekładzie Gustawa Olechowskiego. Rolę Fedory, którą kreowała Sara Bernard, znajdzie godną przedstawicielkę w Marji Przybyłko - Potockiej. Dekoracje projektuje St. Śliwiński, a stylowe kostjumy (r. 1880) skomponował art.-malarz Norblin.

*

W dniu 4 sierpnia r. b. zatwierdzony został przez władze „Polski Związek Producentów Filmowych". Zarząd związku stanowią pp.: B. Kaden (prezes), reż. K. Czyński, S. Dękierowski, inż. Z. Gniazdowski i reż. M. Machwic. Celem związku m. in. jest powołanie do życia w Polsce stałej wytwórczości filmowej.

*

Janina de Witt, znana śpiewaczka sopranistka, powróciła do kraju z zagranicy, gdzie odnosiła wielkie sukcesy wokalne, zarówno w Paryżu, jak i w Londynie.

*

Zarząd miasta Ekaterynburga zwrócił się do władz sowieckich w Moskwie o pozwolenie urządzenia w domu, w którym był zamordowany cesarz Mikołaj II z rodziną — muzeum. Muzeum to zawierałoby stałą wystawę pamiątek, tyczących się ostatniego okresu życia zamordowanego monarchy.

*

Hamburski „Kunstverein", podobnie jak ubiegłego roku Drezno, urządził latem wystawę europejskiej plastyki. Wystawiła Francja, Belgja, Włochy, Rosja, Czechosłowacja, Austrja, Skandynawja... naturalnie obok Niemiec. **Polski nie było.** Tylko wśród Niemców są obrazy R a d z i w i ł ł a. Nazwisko artysty w Polsce dotąd nieznane.

*

G. Izzamberd wydał listy i notatki Artura Rimbaud'a p. t. „A Douai et Charleville".

TEATRY WARSZAWSKIE

(Teatr Mały: „Fura słomy“, komedja w 3-ch aktach *Zygmunta Kaweckiego).*

Jedna z osób, występujących w tej komedji, na zapytanie, do czego zmierza w swem postępowaniu, odpowiada, że chodzi jej o przekonanie niewiernej żony, iż małżeństwo nie jest taksówką, którą się wynajmuje i opuszcza, gdy już jest niepotrzebna. Jakkolwiek od najmłodszych lat szkolnych czułem awersję do wysłuchiwania z utworów i utworków t. zw. „myśli przewodniej“, jednak zdaje mi się, że powyższy aforyzm wyraził tendencję autora „Fury słomy“.

Stało się tedy, iż owa wspomniana, płocha małżonka przywiozła mężowi z krynickich wywczasów w prezencie... kochanka, którego przedstawiła, jako swego narzeczonego. (Fakt ten, tóry nie jest odosobniony, winien być odpowiednio uwzględniony w ankiecie „Prawdy“ o naszych zdrojowiskach, jako jedna z plag w nich grasujących!) Zrezygnowany mąż nie oponuje i czeka, co przyniosą wypadki i rozwodowa przedsiębiorczość jego żony. Ale jest i druga żona: połowica owego uwiedzionego i uwiezionego z Krynicy oblubieńca, Herod-baba w całem tego jędrnego słowa znaczeniu, stojąca na straży Larów i Penatów ogniska domowego. Interwenjuje soczyście, niesolidnego małżonka wyciąga za uszy z objęć „narzeczonej“, ta zaś musi pójść do Kanossy, t. j. wrócić do męża.

Jest ta komedja zbudowana poprawnie, ma jedną czy dwie dobrze nakreślone figury, ale gubi ją — o paradoksie! — jej aktualność... Karykaturowania życia powojennego z jego znamiennemi cechami weszło już w taki szablon, że aby pokazać tu coś oryginalnego, trzeba być... Flersem. A Kawecki polskim Flersem nie jest. To też wyśmiewając dzisiejszą obyczajowość życia rodzinnego, poszedł temi samemi utartemi szlakami, co jego liczni poprzednicy. I dlatego „Fura słomy“ mało rozśmiesza, do czego się zresztą przyczynia brak dowcipu w wielu jej dowcipach.

Natomiast rozśmieszała widownię solidnie gra Maszyńskiego, który powściągnął swój farsowy temperament i dał przekomiczną figurę męża „żony modnej“. Tę zaś żonę odtwarzała Kamińska, której rutynowaną grę cechował, jak zwykle, kanciasty brak wdzięku. Nadspodziewanie dobrze sprezentowała się zato Modrzewska w poraz pierwszy granej przez siebie roli „hic mulier“ (Opacka): rola taka odpowiada jej talentowi niewątpliwie bardziej, niż role amantek. Uwiedzionego przez p. Kamińską Adonisa grał z dużem powodzeniem zdolny artysta, przybyły świeżo z Łodzi, Grolicki.

I. W.

P. S. Z licznych diablików drukarskich, jakie upstrzyły mój ostatni feljeton teatralny, chciałbym przygwoździć tu jeden, za który w imieniu zecera i korektora „Prawdy“ najmocniej przepraszam doskonałego artystę Teatru Letniego, p. Orwida. Zdziwił się zapewne, przeczytawszy, że jego *kapitalną* grę w „Domu warjatów“ nazwano tam *kapitalistyczną.* Był to wprawdzie djablik drukarski, ale djablik niepozbawiony ukrytego sensu. Gra bowiem p. Orwida dostarczyła niewątpliwie kasie teatralnej poważnych kapitałów i w tem znaczeniu była kapitalistyczna...

Teatr Mejski w Łodzi

Inauguracyjne przedstawienie sezonu 1927/8 „Książę Niezłomny“ J. Słowackiego.

Łódzcy miłośnicy teatru, którym artystyczny i kulturalny poziom sceny łódzkiej bardzo na sercu leży, nie mogą bez pewnego uczucia żalu pogodzić się z utratą Szyfmana dla Łodzi. Ten bezpośredni kontakt z doskonałym Teatrem Polskim dawał ambitniejszym łodzianom zawsze duże zadośćuczynienie, mimo, że dyr. Szyfman w sezonie ostatnim nie poznał tego po wynikach kasowych. Te to wyniki właśnie i wywołane przez nie okoliczności rozstania się Łodzi ze znakomitym dyrektorem stanowią niewątpliwie moment przykrzejszy od samego faktu rozstania. Bo ostatecznie Szyfman „nie cały umarł“, skoro pozostał dyr. Gorczyński, który po tylu latach współpracy niewątpliwie zechce i potrafi utrzymać linję, zarysowaną przez dwa sezony minione, jak to przyrzekał w przemówieniu, wygłoszonem przed przedstawieniem inauguracyjnem, na które wybrał „Księcia Niezłomnego“.

Pomijając moment pietyzmu, dla którego właśnie w roku bieżącym sezon powinien był być rozpoczęty pod znakiem Słowackiego, wybór tej tragedji był jednocześnie dobrym popisem zarówno dla reżysera, jak dla dekoratora, i jak wreszcie dla zespołu, w którym z całym szeregiem nowych spotkaliśmy się nazwisk. Rzecz oczywista, że zespół miał w tem zadanie najcięższe, jako, że mówienie wierszem jest sztuką tem trudniejszą, iż coraz bardziej zanikającą. Zarówno dykcja, jak panowanie nad głosem i odpowiednie modulowanie stanowią dzisiaj zalety, coraz rzadziej spotykane, gdyż główny kontyngent sztuk repertuaru współczesnego wymaga od aktora znacznie więcej, jeżeli nie wyłącznie, wyrobienia mimiki, ruchów swobodnych i prowadzenia naturalnego djalogu, co w konsekwencji zaniedbanie dawnych klasycznych walorów sztuki aktorskiej za sobą pociągnęło. Piękno wiersza Słowackiego oczywiście na tem ucierpiało.

Z tem zastrzeżeniem powiedzieć można, że artyści Teatru Miejskiego zwycięsko pokonali trudności, zwłaszcza pod względem dobrego dostrojenia się do stylu całości.

Najszczęśliwiej wywiązali się z zadania pp. Artur Kwiatkowski i Dobiesław Damięcki, którzy, sądząc z pierwszego ich występu, stanowią nader cenny nabytek naszej sceny. O p. Irenie Grywińskiej trudno cośkolwiek powiedzieć, gdyż niewdzięczna rola Fenixany, bardzo monotonna i od początku do końca jękliwa, jest równie niewdzięczna, jak trudna.

Gość warszawski, p. Juljusz Osterwa, czarował pięknym tembrem swego organu i wielką sztuką płynnego mówienia wierszem, całkowicie wolnego od patosu deklamatorskiego. Miał dużo głębi i uczucia, które jednak ani na chwilę nie zepchnęło go na manowce sentymentalizmu i w żadnym szczególe nie osłabiło wrażenia silnej męskości odtwarzanej postaci. Dał on pod względem aktorskim kreację zupełnie doskonałą i wykończoną.

Z zadania reżyserskiego p. Szpakiewicz wywiązał się jaknajlepiej, stwarzając całość bardzo harmonijną i stylową, niestety tylko nieco osłabioną przez zbyt długie przerwy między obrazami, za co winę oczywiście w całości ponoszą trudne warunki techniczne naszej ciasnej sceny. Zresztą według wszelkiego prawdopodobieństwa te niedomagania zmniejszą się w pewnym stopniu na spektaklach następnych. Wiemy przecie ze wspomnień roku zeszłego, że i szybkie zmiany dekoracyj nie są u nas niemożliwe.

P. Mackiewicz dał dekoracje piękne i malownicze, niektóre pełne szczęśliwej inwencji. Pewną wątpliwość wzbudza tylko, czy przy całkowicie stylowem, nie stylizowanem, ujęciu całokształtu sztuki niektóre modernistyczne efekty dekoracyjne (wybrzeże morskie) nie stanowiły dysonansu w harmonji całości.

Część muzyczna należała do najmniej szczęśliwych. Często muzyka nawet przeszkadzała. **emb.**

Nowości

(Egon Erwin Kisch — „WAGNISSE IN ALLER WELT“. 12. Originalzeichnungen v. Rudolf Schlichter. 1927. „Universum-Bücherei für Alles“. Berlin NW. Zürich. Str. 320. W handlu nie do nabycia).

Ciekawe przedsięwzięcie: nowa SPÓLNOTA KSIĄŻKOWA. Oparta na statucie a wydawnictwa jej otrzymują tylko udziałowcy. Założyli ją wybitni pisarze i bibljofile, o zabarwieniu postępowem. Cel: dostarczanie dobrych książek ze wszystkich dziedzin ducha ludzkiego z wykluczeniem pośredników, co poręcza taniość książek. Za opłatą wkładki miesięcznej w wysokości 1.10 M. otrzymuje członek miesięcznik „Universum“ — bardzo dobrze redagowany i jakościowo - wartościowy — a co kwartał cenną książkę: typograficznie doskonale wydaną i pięknie oprawioną w płótno. Wolno jednakże w miejsce nowowydanego utworu, wybrać inny, równowartościowy, z zapasów spółki. Podobnie też za zwerbowanego każdego nowego członka. Podobno każdy z członków bez dopłaty ubezpieczonym jest przeciw wypadkom spowodowanym podczas komunikacji lub sportów. Organami spólnoty są 3 zawiadowcy i rada literacka, która poręcza znowu wysoką jakość wydawnictw, przyjmuje z grona członków wnioski i życzenia. Prof. Einstein, Barbusse, Gorki, George Gross, E. E. Kisch, Harden, Dr. Helena Stöcker, to sztandarowe nazwiska. Otóż w b. r. otrzymali członkowie Gorki'ego „Warsztaty Artamonowych“ a obecnie rzecz Kischa, otrzymają zaś jeszcze powieść Uptona Sinclaira i „Meisterroman“ — jak głosi prospekt — Stefana Żeromskiego „Przedwiośnie“. Nazwiska i tytuły określają jasno linję wydawnictwa. — Obecnie idzie mi właściwie o „Wagnisse“ E. E. Kischa, autor u nas mało znany. Nawet z nazwiska. Popularnie zwany w Niemczech „wściekłym reporterem“. Przedstawiciel nowego w beletrystycznem piśmiennictwie kierunku t. zw. grande reportage i „der neuen Sachlichkeit“, nieomal jego klasyk. Jego 27 opowiadań z najdzikszych zakątków świata i z najzawrotniejszych ognisk kultury, to zbiór najkolorowszych awantur, zawsze jednak zakotwiczonych w realn. życiu. Kisch relacjonuje drobne zdarzenia, anegdoty, błyskawiczne spostrzeżenia, które z bystrością reporterskiej soczewki połapał w swej podróży. Bez retoryki, bez barokowego balastu przebrzmiałego stylu, bez psychologizowania. Autor wychodzi z założenia, które dzisiaj zwycięża, że życie jest tak fantastycznem i barwnem, że wystarczy w nie bystro patrzeć i równie bystro reprodukować, by dać rzeczy zajmujące — a przy talencie — i wartościowe. Same tytuły niejedno tłumaczą. I tak: Jazda przez pustynię, Siarczane kąpielisko w Gruzji, Sylwester w Marsylji, Targ serowy w Alkmaar, Miasto chińczyków, Watykan w Saharze, Kashah w Algierze, Przedpołudnie między Persją a Rosją, Żydzi w Tunisie, Szykany policji w Sardynji, Wspomnienia filmowego artysty itd. Już z tych słów wionie niespokojna wibracja i tempo współczesnego reportera. Ciekawa i ekscytująca książka.

* * *

Henny Poulaille ogłosił książkę o CHARLIE CHAPLINIE. Jest to zbiór szkiców o typie, komiźmie, światopoglądzie i sztuce Chaplina i wielu innych rzeczach dotyczących tego niepospolitego aktora. Wstęp napisał Paul Morand. Poprzednio wydał monografję niemiecką o artyście Hans Siemsen.

Dr. Seweryn Gottlieb.

FELJETON MYŚLIWSKI.

Na kury

Sezon polowania na kuropatwy został rozpoczęty. Po kartofliskach i rżyskach grzmią strzały w całej Polsce. Myśliwi ruszyli w pole z radością i ochotą. Oderwali się od trosk codziennych, od kłopotów dnia powszedniego i szukają na łonie przyrody błogiego odpoczynku.

Dla mnogich rzesz łowieckich, którym nie dano jest zaczerpnąć z krynicy najwyższych natchnień myśliwskich, rozpoczęcie sezonu polowań na kuropatwy jest prawdziwem świętem. Kuropatwa bowiem, podobnie jak zając, stanowi tę zdawkową, drobną monetę łowieckich radości, o której marzyć może każdy.

Rykowisko jeleni w Karpatach, toki głuszców w puszczy poleskiej, wilcze łowy w śnieżnej kniei — to udział nielicznych wybrańców. Skromny wyznawca świętego Huberta nie śni nawet nieraz o takiem szczęściu.

Lecz, gdy wyruszy w pole z wiernym psem „na kury“, wesele rozsadza mu duszę. I wydeptuje suche kartofliska, złote rżyska i saradele okryte białym szronem kwiecia. A jeśli śród tych rżysk, śród wyrudziałych kartoflisk i po krzakach napotka mnogość kuropatwich stad, radość jego staje się zupełną, zwłaszcza, gdy pies, nieodstępny towarzysz, dobrze chodzi, twardo stoi i pięknie doprowadza do wyciekającej bruzdami zdobyczy.

Jesienne pola! Ileż w nich jest uroku, ile pogodnego, cichego czaru... Popielate podorywy świecą płowemi grzbietami skib. Łan kartofli zarośnięty zielskiem, po brzegu pełen rumianków i jaskrów, po środku jaśnieje matową zielenią ostów. Rżyska przesycone słońcem... Zdala, pod lasem, jaskrawo żółta smuga łubinu...

Nawet dla myśliwego, który zakosztował czaru najwspanialszych łowów na jelenie, wilki i głuszce, dla myśliwego, który — jak niżej podpisany — zna małeczniki puszcz poleskich i borów karpackich, nawet dla takiego myśliwego polowanie na „kury“ niepozbawione jest uroku, wiążąc się nierozerwalnie z pierwszemi wspomnieniami łowieckiemi dzieciństwa...

Któż bowiem z łowców nie pamięta swoich pierwszych przygód myśliwskich? swojej „pierwszej kury“? A gdy potem życie uśmiecha mu się wszytkiemi swojemi ponętami, a św. Hubert daje mu ubić „pierwszego kozła“, „pierwszego dzika“, „pierwszego wilka“ i jelenia, wspomnienie pierwszej kuropatwy pozostaje zawsze żywe i zawsze niezatarte...

*

Lubelskie Towarzystwo Myśliwskie urządziło w tym roku popisy polowe wyżłów. Inicjatywę tego ruchliwego i zasłużonego Towarzystwa powitać należy z uznaniem. Miałem zaszczyt obok p. Stolarowa i p. Horodeckiego być jednym z sędziów, reprezentując jednocześnie Ministerstwo Rolnictwa, które udzieliło nagród na powyższych popisach.

Jakaż to rozkosz, jaka myśliwska, najczystsza rozkosz podziwiać wybrane psy i ich zachowanie się w polu, wiatr, szybkość i sposób szukania, styl, stójkę, podprowadzanie i podciąganie do zwierzyny, wreszcie — tresurę! Popisy odbywały się na gruntach świdnickich, dzierżawionych przez Tow. Lubelskie. Nagrodzono pointra angielskiego Bridża (wł. p. Łosakiewicz) na największą ilość punktów i najlepszą tresurę nagrodą Min. Rolnictwa 200 zł., złotym medalem Związku Hodowców oraz dyplomem I-szej klasy; wyżeł lekki niemiecki Ren (wł. p. Rzechowski) otrzymał za najlepszy wiatr nagrodę Ministerstwa Rolnictwa 100 zł., frebrny medal Zw. Hodowców oraz dyplom I-szej klasy; pointer ang. Rex (wł. p. Steliński) — za bardzo dobry wiatr i tresurę nagrodę Min. Rolnictwa 100 zł., bronzowy medal i dyplom II-giej klasy, wreszcie pointer ang. Bankier (wł. p. Jaeger) za najlepszy styl nagrodę 100 zł. i dyplom III-ciej klasy.

Towarzystwo Lubelskie podejmowało sędziów, gości i hodowców w pięknym lokalu klubu łowieckiego, gdzie z ust p. mecenasa Kuczewskiego, myśliwego,, który podczas całych popisów strzelał do kur bez jednego pudła, padła doniosła myśl, by zapoczątkować hodowlę psów rasowych w Lublinie.

Pies myśliwski jest największą radością łowiecką na polowaniu kuropatwim. Dlatego wdzięczność myśliwska należy się tym wszystkim, którzy starają się o podniesienie hodowli i sprawności polowej psa. Zasługa urządzenia field-trialu pod Lublinem przypada przedewszystkiem p. E. Friemanowi, prezesowi Tow., oraz p. sędziemu Obniskiemu. Cześć Myśliwym!

*

Mówiąc o kurach i o polowaniu na nie w roku bieżącym pragnę choć w paru słowach powiedzieć o tegorocznym stanie kuropatw w Polsce. Lęgi były wprawdzie późne i przed 1 września nie należało rozpoczynać polowania, ale stan kur jest miejscami u nas dobry, miejscami zaś (zwłaszcza w okolicach wyższych) nawet bardzo dobry, podobnie, jak stan zajęcy.

To też sezon kuropatwi myśliwi nasi rozpoczynać mogą z prawdziwą radością i weselem, byle pamiętali o roztropnem i przezorne czerpaniu z krynicy tej radości i nigdy nie zapominali o tem, że nigdy nie należy stad kuropatwich wystrzeliwać doszczętnie.

A więc na rżyska i w kartofliska, w buraki i łubiny ruszajmy z imieniem św. Huberta na ustach! A wierny pies nasz dostarczy nam miłych chwil. Każdy zaś myśliwy ma takiego psa, na jakiego sobie zasłużył. Jeżeli bowiem słowa „Le style c'est l'homme“ zastosować do dziedziny łowiectwa, można wówczas powiedzieć bez przesady: „Jaki pies, taki myśliwy“. I jeden i drugi bywa bowiem nieraz — pod psem.

Juljan Ejsmond

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

NASZE MONOPOLE PAŃSTWOWE

Na marginesie sprostowania Min. Skarbu

W związku z zamieszczonem w Nr. 37 „Prawdy" sprostowaniem Ministerstwa Skarbu, dotyczącem mojego artykułu „Nasze monopole państwowe" (Monopol spirytusowy), uważam za wskazane wyjaśnić, że wszystkie zamieszczone tam dane czerpałem **z wydawnictwa urzędowego** „Sprawozdanie o pre liminarzu budżetowym na 1927/28 r. — Część 8 — Dochody i wydatki Min. Skarbu" str. 63—68 **oraz z tygodn. „Przemysł i Handel"** zeszyt 29, str. 999 i 1000.

Poczuwam się do popełnienia jednej tylko niedokładności w moim artykule, a mianowicie nieprzytoczenia źródeł, z których wiadomości moje czerpałem, nie przypuszczałem bowiem ani na chwilę, że te dane urzędowe mogą być Min. Skarbu, resp. DPMS nieznane. Brak ten niniejszem wyjaśnieniem uzupełniam.

Przechodząc do merytorycznego rozpatrzenia postawionych mi zarzutów wyjaśniam:

Ad 1). W artykule moim zaznaczyłem, że w 1926 r. Min. Skarbu wyłoniło aż siedem komisyj i zgodną ich opinją Dyr. Mon. Spirytusowego została usunięta, że jeszcze w roku zeszłym nastąpiły głęboko sięgające zmiany personalne, a więc akcja ta mogła dotyczyć tylko okresu z przed i włącznie 1926 r.; wreszcie co do najcięższego zarzutu Komisji Rzeczoznawców, scharakteryzowanego jako „zbrodnia ekonomiczna", dotyczącego nabycia rektyfikacji w Starogardzie, to tranzakcja ta, na szczęście wydarzyła się raz jeden i każdemu, kto się sprawami spirytusowemi interesuje, zarówno jej czasokres jak i bliższe szczegóły są tak dokładnie znane, że tylko zupełny ignorant, nierozróżniający przytem w języku polskim czasu przeszłego od teraźniejszego, mógłby przypuścić, że dotyczą one roku bieżącego.

Zresztą te wadliwości w ustroju i działalności DPMS. nie należą do tak odległej przeszłości, bowiem w miesiącu październiku r. z. p. Min. Czechowicz uważał za główne swoje zadanie polepszenie gospodarki monopolu spirytusowego, „w obecnej chwili jeszcze mocno szwankującego", — również lwowska Izba handlowa i przemysłowa w sprawozdaniu swem z dnia 4 grudnia 1926 r. (sprawozd. budżet. str. 65) pisze:

„monopol spirytusowy doprowadził tę ważną gałęź gospodarstwa narodowego do takiego stopnia zniszczenia, iż trudno przypuścić, by bez radykalnych zmian w dotychczasowej gospodarce jakakolwiek poprawa zaistnieć mogła".

Zrozumiałem jest, że sanacja tak olbrzymiego przedsiębiorstwa, nie będącego (sprawozdanie budżet. str. 65) „organizację handlową, — ale par excellence tworem biurokratycznym, pośpiesznie sklejonym, któremu obcym był przez długi czas sposób myślenia i pracowania po kupiecku", nie mogła nastąpić jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, tembardziej, że, jak się z dalszych ustępów sprawozdania budżetowego i poniżej przytoczonych danych przekonamy, nie czyniono nawet poważnych usiłowań w tym kierunku.

Zdaniem Komisji Rzeczoznawców (str. 32 i 33 oraz sprawozd. o prel. budżet. str. 63) „Administracja monopolu spirytusowego została zbudowana ponad najdalej idącą potrzebę" i „dla potrzeb centrali DPMS. nie potrzeba obecnych 315 pracowników (nie licząc robotników), lecz conajwyżej 70 do 100 pracowników". — Otóż preliminarz na rok 1927/28 przewiduje w Dyr. Mon. Spir. 321 etatów urzędników oraz 37 funkcjonarjuszów niższych, t. j. razem 358 osób. Pod tym więc względem rok bieżący nietylko nie wykazuje żadnej poprawy, lecz pogorszenie o 14 proc.

Ad 2). Na zarzut niesłuszności twierdzenia, że od czasu zmonopolizowania wyrobu wódek czystych, wzrosło trzykrotnie spożycie wódek gatunkowych, komunikuję, że pod tym względem za źródło służyło mi sprawozdanie urzędowe DPMS. ogłoszone w zeszycie 29 tygodnika „Przemysł i Handel" str. 999, którego odpowiedni ustęp brzmi następująco:

„W okresie pierwszych 5 miesięcy roku bieżącego, w porównaniu z tym okresem roku ubiegłego sprzedaż wyrobów monopolowych wzrosła o 75 proc., a sprzedaż na wyrób wódek gatunkowych potroiła się".

Czy i jaki wpływ wywrze na zmianę smaku konsumentów zamierzone rozporządzenie wykonawcze, ściśle określające pojęcie wódek gatunkowych, w danej chwili przesądzać nie można.

Ad 3). Jak dalece nieścisłem jest twierdzenie Min. Skarbu, że w planie finansowo-gospodarczym na 1927/28 r. liczono się ze spadkiem konsumcji i wpływy obliczano z uwzględnieniem spożycia zmniejszonego o 10 procent za dowód służy fakt, że dla celów spożywczych w 1926 r. sprzedano **398,000 hl.** spirytusu, na rok zaś 1927/28 preliminowano (sprawozd. budż. str. 78) **412,690 hl.**, t. j. o 3,7 proc. więcej.

Spożycie alkoholu w ciągu pierwszych 5 miesięcy 1926 i 1927 r. zarówno ogólne, jako też i według województw, a również wpłaty do Skarbu za ten okres czerpałem **z sprawozdania DPMS., umieszczonego w zeszycie 29 tygodnika „Przemysł i Handel" str. 999 i 1000.**

Ad 4). Użyłem wyrażenia, że cena spirytusu w Polsce jest najwyższą ceną sprzedażną ze wszystkich krajów europejskich. W sprawozdaniu budż. na 1927/28 r. (str. 52) kwestja ta ujęta jest w zdaniu:

„Polska ma w ten sposób na kontynencie obecnie najwyższą cenę sprzedażną spirytusu monopolowego".

Zatem jeżeli twierdzenie moje było błędnem, nie u mnie winno być ono sprostowane.

Ad 5). W sprostowaniu porównane są wpływy za cztery miesiące (kwiecień, maj, czerwiec i lipiec) r. b. z takimiż z roku ubiegłego i stąd wysnuto wniosek o bardziej rentownej działalności monopolu spirytusowego. — Jest to porównanie niewspółmierne, bowiem **należy uwzględnić 18 proc. podwyżkę akcyzy** jak również włączenie do wpłat w roku bieżącym **remanentów kasowych z roku ubiegłego,** które przedstawiały kwoty poważne, obecnie zaś niepomiernie zmalały.

Wreszcie Min. Skarbu zaznacza, że wpłaty do Skarbu za te 4 miesiące r. b. wyniosły 97 miljonów złotych, jeżeli kwotę tę pomnożymy przez 3, to otrzymamy **291 miljonów złotych** jako całoroczny dochód; że zaś według skorygowanego na żądanie Min. Skarbu preliminarza przewidywano na bieżący rok budżetowy wpływ w wysokości **319,6 milj. złotych,** niedobór wyniesie **28,6 milj. złotych;** ja zaś w moim artykule wyraziłem się „zmniejszy wpływy do Skarbu Państwa o **24 miljony złotych**", faktyczne więc rezultaty gospodarki monopolowej są o **19 proc. gorsze** od moich przewidywań.

To zmniejszenie wpływów w stosunku do preliminarza wywołane zostało tą okolicznością, że wyrobów monopolowych spodziewano się sprzedać w bieżącym okresie budżetowym (str. 78 spraw. o prelim. budżet.) **358,600 hl.** rektyfikatu, pierwsze zaś 5 miesięcy 1927 r. wykazuje spożycie tych wyrobów tylko w stosunku **240,000 hl.** rocznie, t. j. zaledwie 2/3 preliminowanej ilości.

Byłoby bardziej pouczającem, gdyby Min. Skarbu w sprostowaniu swojem było wykazało wysokość spożycia w miesiącach czerwcu, lipcu i sierpniu r. b. i porównało z takiemiż cyframi z roku zeszłego, przekonalibyśmy się wtedy czy i w dalszym ciągu konsumcja legalna nie uległa obniżeniu.

Na str. 67 sprawozd. o prelim. budżet. znajdujemy wyliczenie przewidywanego zysku handlowego monopolu spirytusowego w 1927/28 r.:

„otrzymamy zysk handlowy około 10 miljonów złotych — pod warunkiem i z tem zastrzeżeniem, że DPMS. zdoła przelać w 1927/28 r. kwotę 319,5 milj. złotych".

Wobec wykazanych w sprostowaniu wpływów za pierwsze 4 miesiące bieżącego okresu budżetowego należałoby się liczyć ze stratą na gospodarce monopolowej około **18 miljonów złotych.**

Również interesującem byłoby wyjaśnienie ze strony Min. Skarbu resp. DPMS. następującej kwestji:

W ostatnich latach produkcja gorzelń zakupywana przez DPMS. znacznie przewyższała zapotrzebowanie spirytusu wewnątrz kraju na wszystkie cele. Na str. 58 sprawozdania budżet. uwidoczniono, że w 1925/26 r. produkcja wyniosła 630,991 hl. spirytusu, że zaś zapotrzebowanie ograniczyło się do 450,000 hl., stanowi to nadwyżkę **181,000 hl.,** z których wyekspertowano 30,060 hl. — Czy więc pozostałe **150,000 hl.** łącznie z podobnymi remanentami z lat poprzednich zalega składy monopolowe, czy też przy pomocy polskiego konsorcjum dla eksploatacji monopolu spirytusowego w Turcji zostało tam wyeksportowane i na jakich warunkach? Stanowiłoby to ekspansję polskiego monopolu spirytusowego i poza granice naszego kraju, której rezultat, wobec ogłoszenia upadłości tej imprezy w Turcji, powinien zainteresować Najwyższą Izbę Kontroli.

Na mocy art. 30-go rozporządzenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 10 maja r. b. o prawie prasowem — prasa polska obowiązana jest drukować wszelkie sprostowania bezpłatnie, ma ona jednak moralne prawo wymagać, aby urzędy nadsyłające sprostowania, opracowywały je rzeczowo, t. j. jak w danym wypadku, aby nie kolidowały one z danemi urzędowemi zawartemi w sprawozdaniu o preliminarzu budżetowem, bowiem zarzut nieprawdy skierowany przeciwko mnie z powodu artykułu „Nasze monopole państwowe", pośrednio zaś przeciwko p. Referentowi sejmowemu budżetu Min. Skarbu, z którego pracy korzystałem, potwierdza raz jeszcze, że opinja pos. prof. J. Michalskiego o personelu monopolu spirytusowego z lat 1925 i 1926 wyrażona na str. 65 sprawozdania:

„Fachowców wielu niema tam — jest wielu natomiast, którzy być niepowinni. Brak kwalifikowanej jakości uzupełniano mnogością sił niekwalifikowanych".

i obecnie nic nie straciło na swej aktualności.

Rembieszew, dn. 10 września 1927 r.

W. E. Zieliński.

Sprostowanie Ministerstwa Skarbu

Wobec zamieszczenia w numerze 35 „Prawdy" z dnia 5 b. m. w artykule p. t. „Nasze Monopole Państwowe — Monopol Tytoniowy" nieprawdziwych wiadomości, Ministerstwo Skarbu, powołując się na art. 30 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 10. V. 1927 r. o prawie prasowem (Dz. Ust. Nr. 45, poz. 398), przesyła, celem zamieszczenia w najbliższym numerze „Prawdy", poniższe sprostowanie:

Ministerstwo Skarbu ogranicza się do odpowiedzi na jedyny konkretny zarzut, zawarty w powyższym artykule, t. j., że wpłacane przez Monopol Skarbowi Państwa zwiększone dochody „nie świadczą o zwiększonym zysku monopolu tytoniowego", gdyż pochodzą rzekomo z oszczędności, poczynionych na zakupie surowca i materjałów, czyli innemi słowy z rozsprzedaży remanentów.

Zarzut ten ponawiany był już kilkakrotnie i to *od szeregu lat* i zbija się sam przez się, gdyż gdyby był słuszny, Monopol Tytoniowy nie miałby w dniu dzisiejszym wogóle żadnych zapasów. Zarzut ten, postawiony ostatnio w Nr. 120 „Rzeczypospolitej" z 3 maja b. r. został należycie odparty pismem Dyrekcji Polskiego Monopolu Tytoniowego z dnia 13 maja 1927 r. L. 4195/Pr/I/27. Stosownie do treści tego pisma Ministerstwo Skarbu ogłosiło też odpowiednie sprostowanie w Nr. 126 „Monitora Polskiego" z dnia 3 czerwca 1927 r.

Odwołując się tedy do treści powyższego pisma Dyrekcji Polkiego Monopolu Tytoniowego — stwierdza się, że dane cyfrowe powołane w omawianym artykule p. Zielińskiego przedstawione zostały tendencyjnie i jednostronnie, gdyż cyfrom tym nie przeciwstawiono, że niewydatkowane w b. r. kwoty na zakup surowca tytoniowego czy inwestycji, znajdują się na rachunku bieżącym Dyrekcji Monopolu w P. K. O., Banku Polskim i Centralnej Kasie Państwowej, co ilustruje następujące zestawienie odnośnych sald za pierwsze miesiące b. r.:

Stan kasowy Dyr. Pol. Mon. Tyt. wynosił:

dn. 1. I. 1927 roku kwotę 14.303.415 zł.
dn. 1. II. 1927 r. kwotę 17.062.518 zł.
dn. 1. III. 1927 r. kwotę 15.310.825 zł.
dn. 1. IV. 1927 r. kwotę 17.111.686 zł.
dn. 1. V. 1927 r. kwotę 21.971.965 zł.
dn. 1. VI. 1927 r. kwotę 26.579.779 zł.
dn. 1.VII. 1927 r. kwotę 30.987.707 zł.
dn. 1. VIII. 1927 r. kwotę 31.815.820 zł.

Wymienione tedy w artykule oszczędności nie zostały bynajmniej wpłacone do Skarbu Państwa tytułem zwiększonych zysków Monopolu, lecz są w pełnej wysokości, a raczej z poważną nadwyżką w posiadaniu i do dyspozycji Monopolu, przygotowane każdego czasu do uskutecznienia wypłat za surowce zagraniczne, które w ostatnich czasach odbywały się w wolniejszem tempie, z powodu odrzucenia przez ekspertów znaczniejszych partyj dostarczonego nieodpowiedniego surowca.

Zarzut, jakoby zwiększone dochody Polskiego Monopolu Tytoniowego osiągane były drogą wyprzedaży remanentów, jest mimo odrzucenia źle dostarczonych surowców niczem nieuzasadniony, remanenty te bowiem w rzeczywistości stale wzrastają, jak to stwierdzają następujące dane statystyczne:

Zapas surowców wynosił

w dniu 31. XII. 1924 roku — 3.238.000 kg.
w dniu 31. XII. 1925 roku — 15.000.000 kg.
w dniu 31. XII. 1926 roku — 15.012.000 kg.
wreszcie w dn. 1.IV. 1927 r. — 18.658.567 kg.
(stan dotychczas w Monopolu nie notowany).

W sprawie światowej konsumcji bawełny

Świeżo notowana zwyżka cen bawełny wywołuje w Ameryce wielką gorączkę spekulacyjną. Haussierzy, opierając się na fakcie spożycia 16 miljonów bel, dopatrują się w tem dowodu, że światowe zapotrzebowanie bawełny wzrosło. Jeżeli więc tak jest, to przecie leży jak na dłoni, iż w razie wydania przez nowe zbiory tylko 12—13 miljonów bel, zapotrzebowanie nie będzie mogło być w pełni pokryte, zatem powstanie głód bawełny i ceny tego tak ważnego surowca wzrosną nieobliczalnie.

Wbrew pozornej logice tego wniosku, jest on jednak fałszywy, gdyż opiera się na fałszywych przesłankach.

Towary bawełniane nie są przedmiotem zbytku, lecz stanowią dla najszerszych sfer spożywców niezbędny przedmiot pierwszej potrzeby, dla nabycia którego każdy budżet domowy sumę pewną przeznacza. Pamiętać należy o tem, że właśnie najszersze sfery ludności stanowiące główny kontygent spożywców wyrobów bawełnianych, posiadają tylko najniezbędniejszą minimalną ilość bielizny i innych towarów bawełnianych, nie posiadają natomiast żadnego w tej dziedzinie nadmiaru. U nich więc zawsze istnieje zapotrzebowanie, przerastające ich zdolność nabywczą. Konsumenci z pośród tych sfer mogą jednak przeznaczać na zakup towarów bawełnianych tylko pewną zgóry określoną kwotę. Jeżeli więc towary bawełniane są tanie, to nabywają ich więcej, bo nawet przy największej taniości potrzeba zawsze jest większa od mogącej być nabytą ilości.

Innemi słowy, zapotrzebowanie wyrobów bawełnianych bynajmniej nie wzrosło, jedynie tylko szerokie masy spożywców za tę samą sumę pieniędzy były w stanie nabyć większą ilość towarów i w tem tylko dopatrywać się należy przyczyny spożycia 16 miljonów bel. Jeżeli więc w następnym roku naskutek zmniejszenia się rozporządzalnej ilości bawełny surowej nastąpi podrożenie towarów, to będziemy świadkami odwrotnego zjawiska, t. j. zmniejszenia spożycia, ale nie głodu bawełny, zwłaszcza, że i przędzalnicy muszą być przygotowani na to, że przy wysokich cenach surowca będą zmuszeni produkcję swą ograniczyć.

Wszakże przędzalnik nie może zamykać oczu na to, że kredyt, którego udziela swoim odbiorcom ma swoje granice i nie może wzrastać w tosunku do wzrostu cen bawełny. Klientela będzie mogła zatem kupować mniejsze tylko ilości i w tem leży przyczyna, dla której przy podrożeniu cen surowca zapotrzebowanie bardzo znacznie się skurczy.

Należy również mieć na uwadze, że żaden z przędzalników polskich nie rozporządza dostatecznym kapitałem obrotowym, że więc im wyższa jest cena bawełny, tem mniej on jej może nabywać i przerabiać.

W tych warunkach rozsądna ostrożność jest dziś bardziej, nież kiedykolwiek, głównym nakazem dla każdego przędzalnika, o ile nie chce on paść ofiarą sztucznie podnieconej spekulacji amerykańskiej.

O. Kon.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Światowa konferencja gospodarcza dała, jak wiadomo, wyraz zapatrywaniu, że ścisła nomenklatura wytworów, wyliczonych w Taryfie Celnej, jest przesłanką równomiernego stosowania i pobierania cła i stanowi podstawę dla ulepszenia statystyki handlowej. Komitet Gospodarczy Ligi Narodów ustanowił wskutek tego wydział rzeczoznawców dla badania tej kwestji. Trzej reprezentanci Komitetu Gospodarczego wypracowali i przedłożyli Wydziałowi wyczerpujący memorjał. Wydział wychodził z zasady, że nomenklatura winna być możliwie prostą, opierać się na naukowej podstawie i że przy klasyfikacji wytworów należy uwzględnić pracę na nią zużytą. W tym wypadku bowiem wszystkie wytwory tego samego rodzaju, o ile możności, powinny być zestawione w tym samym rozdziale. Według tej zasady reprezentanci wypracowują projekt ramowy. Ażeby jego użyteczność zbadać, mają pozycje taryfowe Niemiec, Belgji, Francji, Włoch i Czechosłowacji na próbę być wstawione w te ramy. Wtedy okaże się, jakie zmiany są konieczne przy stosowaniu powyższych zasad.

* * *

Z New Yorku donoszą, że w Omaha (Stan Nebraska) tworzy się wielki trust pszenicy, który rzekomo dysponuje setkami miljonów buszli pszenicy i zamierza przeprowadzić kontrolę ceny za pszenicę zimową w Stanach Zjednoczonych.

* * *

Wartość kapitałów, ulokowanych w ostatnim miesiącu w nowych budowlach w Ameryce, wynosiła 552.480.000 dolarów wobec 534.400.000 w lipcu i 562.370.000 dolarów w sierpniu r. ub.

* * *

Z Brukseli donoszą, że dochód z ruchu Międzynarodowego Towarzystwa wagonów sypialnych wynosił w lipcu 32.348.741 franków wobec 26.354.376 fr. w tym samym miesiącu r. ub. Wobec tego przychód z ruchu Towarzystwa, który w czasie od stycznia do lipca 1926 r. wynosił 128.655.697 fr., wzrósł w pierwszych 7 miesiącach bieżącego roku na 209.542.873 fr.

* * *

Według wiadomości z Szanghaju, zamierzają tamtejsze, w japońskich rękach będące przędzalnie sfuzjonować się. Dotyczyłoby to około 15-tu przedzalń w Szanghaju i okolicy o ogólnym kapitale 100 miljonów yen. Jako powód dla fuzji podają trudności, wśród których japońskie fabryki obecnie pracują. Sądzą, że przez połączenie się, będą zdolne do utworzenia ścisłego frontu wobec chińskich robotników. Również i inne japońskie przędzalnie, zwłaszcza w Tsingtau i na południu, mają być sfuzjonowane, o ile koncentracja w Szanghaju wykaże skuteczność.

* * *

Według pogłosek, rząd sowiecki zamierza wstrzymać rosyjski handel importowy z Arabji, kierowany dotychczas na port hamburski. Ponieważ urządzona została regularna służba między Odessą i Arabją, przywóz tą drogą może być zorganizowany.

* * *

W myśl uchwały argentyńskiej izby deputowanych, przyjęty został wniosek znacjonalizowania argentyńskich pól naftowych 88-u głosami przeciw 17-u. Uchwała postanawia, że eksploatacja pól naftowych ma się odbywać tylko w łączności z argentyńskim rządem i prywatnemi spółkami narodowemi.

* * *

W litewskim handlu manufaktury znowu dwie firmy popadły w trudności płatnicze. Jedną z tych firm jest największe przedsiębiorstwo manufakturowe Jaffet i S-ka, którego długi wynoszą 125,000 dolarów. Głównymi wierzycielami są firmy zagraniczne. Równocześnie wstrzymała płatności kowieńska firma manufakturowa Galaski, której zobowiązania wynoszą 30.000 dolarów.

* * *

Fabryka samochodów Komnick w Elblągu otrzymała koncesję dla prowadzenia ruchu autobusami w Kownie. W roku bieżącym zamierza prowadzić ruch 20-tu autobusami.

Odpowiedzi Redakcji

Towarzystwo dla Handlu z Turcją. Sprostowanie Panów w szczegółach, dotyczących istotnych zarzutów, nie przytacza okoliczności faktycznych, w szeregu punktów zaś konstruuje zarzuty, które bynajmniej uczynione nie zostały, wreszcie, zawierając subjektywną ocenę artykułu, nie ogranicza się do przewidzianego prawem zakresu. Wobec tego, sprostowania tego, jako nie odpowiadającego obowiązującym przepisom dekretu prasowego, nie zamieścimy.

Rynek pieniężny i giełda

Na rynku walutowym panowała w tygodniu ubiegłym tendencja spokojna. Dolary notowano oficjalnie nadal 8.91, dewizy na New Jork 8.93. Bank Polski płacił za dolary 8.89 do 8,88, za dewizy 8,91. W obrotach prywatnych notowano dolary 8.92 przy nieco żywszem zainteresowniu. Transakcje kablem na New Jork przeprowadzano na 8.95 i ćwierć do 8,95 i pół. Przy zamianie gotówki na kabel dopłacano 3 i ćwierć do 3 i pół, przy zamianie czeków na kabel 2 i ćwierć do 2 i pół pro mille.

Kurs obliczeniowy 100 złotych w złocie wynosił nadal 172,30 a gram czystego złota 5,9351. Ruble złote były w silnym popycie. Płacono za nie 4,76 do 4.75 i pół. Kurs ostatni odpowiada przy parytecie 53,30 stosunkowi 8,92 za 1 dolar.

Dewizy europejskie miały tendencję spokojną i wykazały minimalne tylko odchylenia. Za przekazy i czeki na Gdańsk płacono między bankami 173,45 do 173,42, na Berlin 213 zł. Czerwońce sowieckie podniosły się początkowo w obrotach prywatnych z 3,05 na 3,16 dolarów, spadły jednak wkońcu na 3,12 dol. Na dzień 1 września ogólna ilość pieniędzy, będących w obrocie w Rosji Sowieckiej wynosiła 1,552,478,800 rubli. Na tę sumę składały się bilety Banku Państwowego — 930,307,6 tysięcy rubli, państwowe bilety skarbowe — 440,047,3 tys. rubli, srebrne monety bankowe — 70,732,7 tys. rubli, srebro zdawkowe — 95,998,6 tys., miedź — 8,929,2 tys. oraz monety bronzowe — 3,463,4 tys. rubli.

Obrót dzienny na Warszawskiej Giełdzie dewiz był w dalszym ciągu wielki, gdyż wynosił przeciętnie dziennie przeszło 400 tys. dolarów. Całe zapotrzebowanie pokrywał wyłącznie Bank Polski.

Zapas walut i dewiz instytucji emisyjnej osiągnął dalszy poważny wzrost. Według ostatnich danych zwiększył się zapas kruszcowo - walutowy Banku pomimo deficytu bilansu handlowego od początku b. r. o 27 milj. dolarów. Ostatnie dwie dekady sierpnia wykazały znowu znaczny przypływ kruszcu, jako też dewiz zagranicznych. W drugiej bowiem dekadzie sierpnia zwiększył się zapas złota i srebra o 2,640,032 zł. a w trzeciej dekadzie o 5,190,484 złotych, czyli razem o 7,831,116 do kwoty 175,168,587 zł. Zapas walut i dewiz wzrósł w drugiej dekadzie brutto o 5,533,088 a netto o 5,672,161 zł., w trzeciej zaś dekadzie brutto o 6,815,758 a netto (wskutek zmniejszenia się zobowiązań walutowych o 447,891 — o 7,263,649 zł. do kwoty 236,114,568 złotych.

Portfel wekslowy Banku Polskiego zwiększył się w trzeciej dek. sierpnia o 9,8[illegible],457 do kwoty 407,887,835 zł. a pożyczki zabezpieczone zastawami wzrosły o 5,693,460 do kwoty 28,999,626 zł. Obieg biletów bankowych zwiększył się bardzo znacznie, gdyż o 62,768,730 do 793,829,660 złotych, przyjęty natomiast do zapasu Banku stan polskich monet i bilonu zmniejszył się o 16 milj. do 545,787 złotych. Salda na rachunkach żyrowych i innych zobowiązaniach zmniejszyły się o 33,9 do 252,7 milj.

Sytuacja Skarbu Państwa kształtowała się nadal pomyślnie. Wpływy z danin publicznych i monopolów przyniosły w sierpniu ogółem 154,510 tysięcy złotych, podczas gdy w lipcu 1927 roku — 169,722 tysięcy złotych, natomiast w sierpniu 1926 roku tylko 126,113 tysięcy, a w lipcu 1926 roku 130,597 tysięcy. Poszczególne pozycje wpływów przedstawiały się w sierpniu r. b. w porównaniu z sierpniem roku ub. następująco (pierwsza cyfra z 1927, druga z 1926 roku, w tysiącach złotych): Podatki bezpośrednie 39,872 — 37,439, podatek majątkowy 1995 — 0, podatki pośrednie 11,761 — 12.478, cło 21,937 — 15,912, opłaty stemplowe 12,299 — 10,837, dodatek 10-cioprocentowy do danin 6,284 — 1,540, monopole państwowe 60,362 — 47,907.

Rynek akcyjny pozostawał w tygodniu ubiegłym pod znakiem pewnej depresji, spowodowanej z jednej strony „baissą" na giełdzie berlińskiej, z drugiej zaś strony brakiem gotówki. Kulisa operowała bardzo ostrożnie, ograniczając zakupy do minimum i realizując natychmiast zyski. Dalsze zlecenia zagranicy na zakup „Siły i Światła" spowodowały znaczną zwyżkę tego papieru. W dziale metalurgicznym cieszyły się nieco większem zainteresowaniem Starachowice i Ostrowieckie (temi ostatniemi przeprowadzają poważne tranzakcje na giełdzie brukselskiej), natomiast wszystkie inne były w zupełnem zaniedbaniu. Z papierów bankowych wyróżniano nadal Bank Dyskontowy. Obroty akcjami Banku Polskiego były umiarkowane.

Listy zastawne miały tendencję spokojną. Nieco większe wahania ujawniły 4 i pół-procentowe L. Z. Ziemskie oraz 8-proc. L. Z. m. Warszawy. Pożyczki państwowe utrzymały się z drobnemi wyjątkami na niezmienionym poziomie.

Na giełdzie nowojorskiej nastąpiła ostatnio bardzo poważna zwyżka 8-proc. Pożyczki Polskiej z 1925 roku (Dillona), która podniosła się z 98 i ćwierć na 99 pięć ósmych. Natomiast 6-proc. Pożyczka 1920 roku podniosła się początkowo na 84 i pół, spadła jednak w końcu na 83 dolary. Na ultimo zyskała 84. Zwyżka pożyczek polskich tłumaczy się wielką płynnością gotówki na rynku amerykańskim i powstałem stąd zainteresowaniem dla wszystkich pożyczek europejskich.

Awil.

Kronika gospodarcza

CENY NA RYNKU ŚWIATOWYM

w tygodniu od 1-go do 7-go września 1927 r.

(w okresie sprawozdawczym przeciętny kurs funta ang. = zł. 43.50.

	1. IX.	7. IX.
BAWEŁNA:	pensy ang.	
Middling amer.	12.20—12.20	
Middling na termin	12.—11.80	

Patrz art. „Sytuacja na rynku bawełny".

PRZĘDZA BAWEŁNIANA:	pensy ang.	
Amerykańska 32"	17½	17¾
Egipska 60"	29¾	30

WEŁNA:	szyl. ang.	
Merino najwyższy gat. (prana) za funt ang.	49	50
Merino najwyższy gat. (Brudna) za funt ang.	41	42
Crossbread przedni za funt ang.	39	40
Crossbread średni za funt ang.	28	,29

Nowe strzyżyny w Australji zjawiły się na rynku w dostatecznej ilości, aby sobie wyrobić opinję co do kształtowania się cen października do lipca. Ogólny sąd idzie w kierunku, że ceny osiągną równomiernie wyższy poziom. Ceny za australijską wełnę mają naturalnie tendencję mocną, ale dotychczas nie można zastosować żadnych specyficznych zmian.

TOPSY (czesanki):	pensy ang.	
Przednie merino 70"	52	52
Dobre merino 64"	50	50
Cienkie Crossbread	34	35

Ceny na topsy nie są zupełnie ustalone. Zgodnie z wełną są mocniejsze na 64' i 40', ale kupujący sprzeciwiają się stanowczo podwyżce.

JUTA:	funty ang.	
Przedni gat. za tonnę	37	37

Worki jutowe na mąkę i cukier poszły w cenie ponad poziom 100 szyl.

MĄKA:	szyl. ang.	
przednia pszenna kanadyjska za worek (40 funt. ang.)	22.6—22.3	

Piekarze w ostatnim czasie słabo kupowali, wskutek tego ceny i warunki kredytu obniżone zostały.

ZBOŻE:	szyl. ang.	
jęczmień za centnar angielski	11.6—11.9	
owies za centnar angielski	10 —10	

Cena za jęczmień odnosi się do wyższych gatunków. W ostatnim tygodniu przybyło z krajów eksportujących 585.080 kwarterów. Przeciętna cena owsa utrzymana.

RYŻ:	funty ang.	
Karolina za tonnę	38	38
Burma za tonnę	15.15—15.15	

Rynek jest stały.

JAJA:	szyl. ang.	
za wielką setkę (120 sztuk)	17½	18

Świeże jaja po 18 sz. znajdują nabywców. Podaż i popyt obracają się powyżej przecięcia zwykłego w obecnym sezonie.

CUKIER BURAKOWY:	szyl. ang.	
kryształ za centnar (bez podatku)	15	15

Interes loko jest spokojny, natomiast na terminy w 1928 r. do sierpnia ożywiony. Na styczeń 17 szyl., luty 17 szyl. 1 pens, marzec 17 szyl. 2 pensy, maj 17 szyl. 4 p., sierpień 17 szyl. 7 p., tak, że przewidziany jest rynek zwyżkujący.

ŻELAZO (lane):	szyl. ang.	
Nr. 1 za tonnę	70	70
Nr. 3 za tonnę	67½	67½

Od początku września nie uwydatnia się żadna zmiana.

CYNK:	funty ang.	
Płyty za tonnę	37.10	37.10
Sztaby za tonnę	27.10	27.10

Płyty cynkowe bez zmiany. Cena za sztaby obraca się około Ł 27.10 za gotówkę, ale transakcyj jest mniej, niż zwykle.

CYNA:	funty ang.	
Standart za tonnę	290—295	

Ameryka jest nieco słabsza na rynku cyny w ciągu tego miesiąca. Londyn znajduje się w sytuacji niepewności, wobec zmniejszonych dowozów z zagranicy i większych zapasów na miejscu.

OŁÓW:	funty ang.	
Ołów za tonnę	24	24

Ołów nie wykazuje istotnych zmian w cenie zarówno w Londynie jak i w Nowym Yorku. Amerykańskie sprawozdania wskazują raczej na poważny wzrost podaży.

CENY BAWEŁNY w New-Yorku:

	cent. ameryk.
loco	22.75—23.70
na październik	22.57—22.49
na grudzień	22.86—22.79
na styczeń	22.87—22.83
na marzec	23.08—23.03

WĘGIEL:	
Za tonnę fob	szyl. an.
najlepszy gruby	20 —20.6
secunda	19.6—20
zwyczajny	18.6—19.6
drobny	13 —14.6
brykiety	23.6—24.6
koks (według jakości)	27.6—42.6

W Zagłębiu Walijskiem objawia się mało czynników, które rokowałyby nadzieje na polepszenie sytuacji w ciągu jesieni. Eksport powoli się powiększa, ale potrzebna byłaby znaczna poprawa, zanim możliwem będzie ponownie uruchomić szyby zamknięte, względnie uniknąć przerw jednodniowych lub dłuższych, które są na porządku dziennym. Rozmiar wysyłki nie może być porównany z rokiem ubiegłym, gdyż w tym okresie 1926 r. ogólny strejk górników trwał jeszcze i unieruchomił wszelki handel. W porównaniu jednak z rokiem 1925-ym eksport jest znacznie większy.

Portugalskie koleje państwowe rozpisały dostawę na 50.000 tonn drobnego węgla na wrzesień i październik. Zachodzą pewne trudności w znalezieniu dostatecznych ilości drobnego węgla dla tej dostawy, ze względu na braki produkcji, spowodowane unieruchomieniem kopalń. Również i łotewskie koleje poszukują 50.000 tonn grubego węgla, podczas gdy norweskie koleje reflektują na 10.000 tonn.

SYTUACJA NA RYNKU BAWEŁNY.

Dnia 8 b. m. opublikowane oficjalne sprawozdanie amerykańskiego ministerstwa rolnictwa odnośnie do stanu amerykańskich zbiorów bawełny, spowodowało dalszy szybki wzrost cen. Sprawozdanie podaje wysokość zbiorów w porównaniu z cyframi, opublikowanemi przed miesiącem na 12,692,000 bel, a więc o 800,000 bel mniej. Po opublikowaniu sprawozdania nastąpiła nadzwyczajnie żywa działalność spekulacji, która, jak wspomnieliśmy, ceny szybko uniosła w górę. Również i przedstawiciele konsumentów w wysokim stopniu brali udział w zakupach. Naogół zwyżka cen w takim stopniu nie była oczekiwana, ponieważ opublikowane w ostatnich dniach prywatne ceny podawały mniej więcej tę samą wysokość zbiorów.

Faktem jest, że wilgoć podczas sierpnia rozmnożyła ilość owadów, które obecnie są decydującym czynnikiem sytuacji. Dotknięty rejon rozszerzył się w sierpniu ku północy i podają, że szkoda jest bardzo wielka. Również i chłody opóźniły rozwój rośliny w północnej części rejonu bawełny.

Być może, że obecnie ukażą się na rynku pewne dawniejsze zapasy bawełny, aczkolwiek w tym sezonie mało o takich zapasach było wiadomości. Być może, że w ostatnim czasie fermerzy wskutek zwyżki cen, spowodowanej pogorszeniem się zbiorów, zapasy takie trzymali. W każdym razie poleca się w chwili obecnej pewną ostrożność.

MS.

Przypominamy P. T. Abonentom

zalegającym z prenumeratą wyrównanie takowej w jak najkrótszym czasie, gdyż od

1-go października

przerywamy dalszą wysyłkę

„Prawdy".

Anna Besant w Warszawie

Od chwili narodzin myśli ludzkiej Duch, ten dla którego nie istnieje ani czas, ani przestrzeń, szuka prawdy bezwzględnej. Ani teorja względności, ani dociekania zamknięte w doświadczalnem rozumowaniu logicznem, nie stanowią barjer dla metafizycznych poszukiwań absolutu.

Drogi dotychczasowe, po których od zarania do dnia dzisiejszego dążyła myśl ludzka dadzą się ująć w trzy wielkie systematy, traktujące o materji i kierującej ją energji czy sile. Najstarszy być może i jak dotąd najtrwalszy Teizm stawia „Siłę“ ponad materją i każe wszystkim religjom świata wierzyć, że siła ta, — Bóstwo, — kieruje wszech rzeczą i wszechświatem według swojej odwiecznej, najdoskonalszej i nieomylnej zasady. Ten pierwiastek, Bóstwo stojące ponad materją, władne tworzyć, rozkazywać, karać, niszczyć lub nagradzać, odnajdujemy we wszystkich religjach, od bałwochwalstwa aż do reformacji chrześcijańskiej, w coraz to nowych formach, w coraz to innych komentarzach i atrybucjach przypisywanych Sile nadprzyrodzonej.

Drugi system ujmowania zjawisk życia, a raczej negacja wszelkiego systemu, wyrosła na gruncie zniechęcenia, rozpaczy i zawodów teizmu, — to ateizm. Ateista odrzucający wiarę w jakąkolwiek siłę zdolną kierować istnieniem, tworzy pojęcie, że wszystkie przejawy są dziełem przypadku, że byt różni się od niebytu jedynie domieszką wydarzeń nie mających źródła w żadnej sile kierowniczej. Z opaską na oczach przechodzi ateizm koło wielkich zagadek niepojętej konsekwencji narodzin każdego tworu i każdego zjawiska.

Lecz religja rozpaczy, która w pewnym okresie miała znaczną ilość zwolenników, mija powoli jak zły sen, a myśl ludzka burząc ramy przestarzałych wierzeń przeszła wraz z teorją monizmu Heckla do czystego Panteizmu. Dla panteisty materja i energja stanowią jedną nierozłączną i nierozerwalną całość. Niema materji bez jawnej lub utajonej, statycznej lub kinetycznej energji. Siła-Bóstwo istnieje, żyje, tworzy, karci i chwali, lecz istota jej nierozłączna jest od każdego atomu wszechświata.

Różnice między temi trzema systematami myślowemi są tak wyraźne, że dadzą się streścić na jednym podstawowym przykładzie. Z ziarnka rzuconego ręką siewcy w glebę powstaje kłos: dla teisty — Siła Wszechmocna kierowała ręką siewcy i zamieniła ziarno w plon; ateista twierdzić będzie, że był to czysty przypadek, a panteista powie, że moc życia tkwiąca w człowieku prowadziła jego ramię, a ukryta w ziarnie siła przebiła łuskę i spojrzała w słońce.

Ruch teozoficzny powstał spontanicznie około roku 1870 na tle dążeń ku zbrataniu różnych poważnionych religij teistycznych i odrazu zjednał sobie szereg zwolenników zwłaszcza w Ameryce, Anglji, Rosji i Indjach. Pani Anna Besant była jedną z pierwszych wyznawczyń teozofji i po dziś dzień jest przewodniczącą wszechświatowego związku teozofów, liczącego około 15.000 członków. W swojej podróży samolotem po Europie 80-letnia struszka odwiedziła dnia 31 sierpnia r. b. Warszawę i mocnym, przekonywującym głosem wypowiedziała odczyt o „Teozofji w życiu Narodu“ przy szczelnie wypełnionej sali Towarzystwa Higjenicznego w Warszawie. Odczyt ten zilustrował popularnie, może jak dla Polski zbyt popularnie, obowiązki jakie nakłada na narody poczucie braterstwa.

Zdawałoby się, że sama definicja teizmu i panteizmu wyklucza możliwość wspólnoty terenu, a jednak teozofja (Mądrość Boska po grecku) właśnie stara się być czemś przejściowem, właśnie czemś łączącem te dwa systematy. Teozofja uznaje dobroć, szlachetność wszystkich religij i nakazuje czerpać z nich to, co jest wspaniałe i wieczne i prawdziwe. Do poznania Prawdy prowadzi ścieżka, po której dążą wtajemniczeni.

Jedna z podstawowych teoryj teozofji, Teorja Reinkarnacji, dzieli istnienie duszy na trzy podstawowe okresy: 1) okres niemowlęctwa, 2) intensywnej pracy wewnętrznej i 3) doskonałości. Ludzie doskonali powinni prowadzić słabszych ku światłu i prawdzie, lecz nie zapominać równocześnie, że kochać należy tych braci, kroczących po wspólnej ścieżce do Bóstwa.

Nieporozumienie powstaje tylko wówczas, gdy przychodzi do określenia samej istoty Bóstwa. Rzućmy okiem na nowoczesną ewangelję teozofji, maleńkie dziełko Krishnamurti, pozwanego na „Mistrza“ przez p. Annę Besant: „Gdy ciało twe żąda czegokolwiek, zastanów się chwilę, czy chcesz tego istotnie ty. Gdyż ty jesteś Bogiem i chcieć możesz tylko tego, czego chce Bóg; lecz musisz wejść w głębię twej istoty, by odnaleźć w niej Boga i wsłuchać się w głos Jego, który jest twoim głosem“ (str. 19). Czyżby to nie było znakomitem krótkiem ujęciem światopoglądu panteistycznego, gdyby nie te znów słowa wypowiedziane na innem miejscu: „„...tylko znajomość Bożego planu względem ludzi jest prawdziwie ważną“, (str. 16), które rzucają raczej pokornego, zdezorjentowanego teozofa w objęcia teizmu. Takie niezdecydowane stanowisko nie da się utrzymać nawet przy najbardziej pobłażliwem rozumowaniu metafizycznem i dlatego może właśnie należy traktować teozofję jako formę przejściową, system nieskrystalizowany, który drogą wyznawanej przez siebie ewolucji dojdzie do tego lub innego definitywnego wyznania wiary.

Jan Rozgórski.

AUTOMAT

czyli cuda, które się zdarzyły w Starej Pradze w 183... roku

(Dokończenie).

Zabawa w dniu Mikulasza w Winnicach Królewskich była w toku, gdy doktór Wurcel, doktór Nagi i Weronika zbliżali się tam, krocząc pod górę po topniejącym wydeptanym śniegu. Pstre papierki i kwiaty, mąka i groch sypały się ze wszystkich stron, piszczałki przebranych za djabłów studentów i młodzieży czyniły hałas piekielny, handlarze w kramikach wychwalali swe towary, zgiełk i wesele panowało nieopisane i Weronice, która myślała o Bolesławie, wciąż się zdawało, że on jest gdzieś tu blisko. Mimowoli oglądała się na każdego przebiegającego czerwonego djabła, mając nadzieję, że usłyszy głos, słyszany z okna domu „trzydziestu djabłów“. Lecz djabli przebiegali dalej nie odważając się zaczepić Weroniki, którą widzieli pod opieką dwuch tak czcigodnych ludzi, jakimi byli doktór Wurcel i doktór Nagi.

Zbliżyli się do największej budy w samem środku placu zabawowego, na szyldzie której przedstawiony był Mefisto, grający w szachy, a przed wejściem tłoczył się ogromny tłum grających. Każdy chciał obejrzeć za 20 fenigów ten cud, o którym już przedtem tak wiele słyszał. Automat szachowy był już znany w Europie. Był już we Wiedniu, gdzie ogrywał najlepszych szachistów, był w Berlinie i Dreźnie. W drodze do Budapesztu (tak informowali miejscy wszędobylscy) zatrzymał się w Pradze. Wszyscy chcieli go zobaczyć, lecz mało było chętnych, aby zagrać z nim w szachy. Każdy obawiał się porażki. Nikt też pieniędzy przegrywać nie chciał. Dlatego tłum prędko i chętnie się rozsunął, gdy ujrzano, że do automatu zmierzają tak czcigodne osoby i tak znani szachiści, jakimi byli dwaj nasi przyjaciele.

Właściciel budy i automatu doktór Sangwini o żywych, czarnych oczach, noszący na lewej stronie fraka wielką złotą gwiazdę, skłonił się nisko doktorowi Nagiemu i doktorowi Wurclowi, widocznie już uprzedzony, kogo ma zaszczyt witać, nie omieszkał jednak ściągnąć od nich 30 fenigów za wstęp, poczem odsunął przed nimi zasłonę — wejście do budy.

Pośrodku budy, w której sporo było ludzi, stał automat. Stał na tle czerwonej aksamitnej zasłony, dotykającej jego tylnej części i przedstawiał siedzącego na dość wysokim cokole żelaznego Mefistofelesa, pochylonego nad szachownicą. Mechanizm był w ruchu. Prawa ręka Mefistofila cudownym sposobem dotykała figur, porozstawianych na szachownicy i przesuwała je z jednego miejsca na drugie. Figury były metalowe.

Biedną Weronikę strach ogarnął, ale jednocześnie doznała uczucia niewypowiedzianej przyjemności. Wnet bowiem przeczuła w głębi serca swego (a to zdarza się najbardziej godnym pannom), że gdzieś w pobliżu musi się znajdować Bolesław, który ją naturalnie obroni przed tym strasznym demonem, w ręku którego (wiedziała o tem, gdyż słyszała z kuchni wczorajszą rozmowę ojca z gościem) spoczywał teraz jej los. Wystarczy tylko, aby ten wstrętny doktór Wurcel (wydał jej się naraz wstrętnym, czego dawniej nigdy nie było) wygrał partję jakimś nowem okropnem posunięciem...

Mimowoli odeszła od automatu i zbliżyła się do zasłony, podczas gdy doktór Wurcel i doktór Nagi przy udziale doktora Sangwiniego oglądali automat, otwierając i macając go ze wszystkich stron i przebijając na wylot szpadą w różnych miejscach przez specjalnie w tym celu zrobione otworki. Nie było żadnych wątpliwości — mieli przed sobą tylko maszynę o nieskończonej ilości kółek i drążków, człowiek we wnętrzu nie siedział, nie mógł zresztą tam być, gdyż nie zmieściłby się.

Ale gdy doktór Wurcel i doktór Nagi przekonywali się o tem, Weronika usłyszała to, co spodziewała się usłyszeć. Usłyszała cichy głos Bolesława: „Weroniko, kocham cię! Weroniko ja cię uratuję! Bądź odważna!“ Potem wszystko umilkło. Obok nie było nikogo. Głos pochodził jakgdyby z automatu. Spojrzała na czarną postać Mefistofelesa i wydało jej się, że Mefisto uśmiechnął się przyjaźnie.

Doktór Nagi i doktór Wurcel nie zauważyli nic, gdyż byli zajęci omawianiem warunków gry. Rozstrzygali ważną kwestję, kto z nich ma grać pierwszy z automatem. Doktór Nagi chciał grać pierwszy, lecz doktór Wurcel zwrócił mu uwagę, i to tak głośno, że wszyscy słyszeli, iż on — doktór Wurcel — powinien grać pierwszy, przedewszystkiem dlatego, że zna nowe posunięcie, a po drugie dlatego, że od jego gry zależy, czy otrzyma rękę Weroniki, czy też nie otrzyma.

Doktór Nagi uczuł się obrażonym wzmianką o nowem posunięciu. Wnet jednak coś ważniejszego zajęło jego uwagę: Usłyszał wyraźnie (czy to aby nie było złudzenie) jakiś głos, jakby z pod ziemi wychodzący: „Dajcie mu pokój, już ja temu durniowi zadam bobu“. Zapomniał natychmiast o urazie i bez protestu przystał na drugi argument doktora Wurcla. „Lecz proszę pamiętać drogi szanowny doktorze“ rzekł mu: „jeśli pan przegra, zobaczy pan Weronikę, tak jak swoje uszy!“ To rzekłszy odszedł na bok do córki, która, rzecz dziwna, najspokojniej przyglądała się wszystkiemu, co się działo, jakgdyby to jej nie dotyczyło.

Doktór Wurcel położył na stoliku dwa guldeny. Uważał wprawdzie za rzecz niegodną grać o pieniądze, lecz tu rozchodziło się o rzecz droższą niż pieniądze, zdecydował więc, że grać o mały zakład nie wypada. Automat zaskrzypiał, zawarczały jakieś kółka, a ręka żelazna wyciągnęła się do właściciela. Doktór Sangwini włożył do niej także dwa guldeny. Automat zacisnął je palcami, zaskrzypiał znów, zgiął rękę w łokciu i położył pieniądze obok pieniędzy doktora Wurcla.

Doktór Wurcel zdecydowanie zrobił pierwsze posunięcie. Automat zaskrzypiał, zgiął rękę, wziął nią pionka i odpowiedział najzupełniej prawidłowo, zgodnie z przyjętą podówczas teorją początku gry. Tłum umilkł. Wszystkie spojrzenia skierowały się na graczy, z których jeden — doktór Wurcel gwałtownie i porywczo robił posunięcia, które przez trzydzieści lat uważał za najlepsze, a drugi — automat powoli skrzypiąc i warząc mechanizmem, obojętnie odpowiadał na nie tak samo, jak przez trzydzieści lat odpowiadał na te posunięcia doktór Nagi. Zdawało się, że niewiele brakuje, a doktór Wurcel osiągnie tę sytuację w grze, przy której będzie mógł zastosować swe słynne posunięcie, które zdobyło mu wczoraj tak znaczne zwycięstwo. Tak się też stało. Doktór Wurcel osiągnął upragnioną sytuację i z triumfem zrobił swe posunięcie, zostawiając laufra pod groźbą bicia. „Weronika jest moją“ pomyślał sobie. Głębokie westchnienie wydarło się z piersi doktora Nagiego. „Durrrreń“ zgrzytnęły kółka automatu i Mefisto powoli i spokojnie zamiast tego, aby przyjąć ofiarę, dał Wurclowi szacha królowi i damie...

I teraz stał się jeszcze jeden cud, już 6-go grudnia 183... roku w Starej Pradze. Doktór Wurcel począł trząść się i chichotać i z dzikim rykiem „durrrreń, durrrreń!“ rzucił się na właściciela budy, doktora Sangwiniego, odgryzł mu nos, poczem wyszedł z budy w ten sposób, jak chodzi koń szachowy, — dwa kroki naprzód i jeden w bok, dwa kroki naprzód i jeden w bok.

— „Durrrreń, durrrreń! Mat królowi! Koniem, koniem!“ krzyczał i ryczał, torując sobie drogę przez świąteczny tłum. Doktór Nagi przerażony tem co zaszło, zapomniał o Weronice i popędził za doktorem Wurclem. Publiczność, znajdująca się w budzie, tłocząc się i popychając, podążyła za nimi. Rozległy się krzyki: „Trzymajcie go, trzymajcie! Zwarjował!“

Doktór Sangwini z zimną krwią pocierając ugryziony nos, położył do kieszeni fraka, leżące na stoliku szachowym obok automatu cztery guldeny, a Weronika? Weronika zdumiona i przestraszona pozostała samotnie przy czerwonej zasłonie pośrodku budy.

— „Weroniko ukochana!“ usłyszała znów głos Bolesława: „dziś o północy otwórz okno w waszem mieszkaniu wychodzące w stronę domu „trzydziestu djabłów“, chcę z tobą pomówić“...

* * *

Weronika wróciła do domu sama. Musiała długo czekać na schodach, gdyż służąca Anna, korzystając z rzadkiego wypadku, że państwo poszli na zabawę, pobiegła do sąsiedniej piwiarni pogadać o sprawach miejskich i tam usłyszała wiadomość o wypadkach na placu zabaw. Weronika w nagrodę za czekanie dowiedziała się jak to właściwie było. Anna wiedziała już wszystko: i to, że doktór Wurcel przegrał djabłu swą duszę i zwarjował, o tem, że doktór Nagi złapał swego przyjaciela dopiero na Starym Placu (tak prędko biegł tamten, dosiadłszy konia) o tem, że doktora Wurcla ujęto i odwieziono do doktora, gdzie leczą go obecnie zimną wodą po włożeniu kaftanu bezpieczeństwa i o tem, że pan doktór, ojciec jej, prawdopodobnie nie prędko wróci do domu, zajęty jest bowiem przyjacielem.

Weronika z trudem wysłuchała tych wszystkich opowiadań do końca i odeszła do swego pokoju, tłumacząc się silnym bólem głowy. Tam położyła się na chwilę na łóżku i zasnęła. Widziała siebie we śnie na zamku praskim, biorącą ślub z Bolesławem w katedrze św. Wita. Kiedy się obudziła, była już późna noc i ciemno. Nasłuchiwała przez chwilę i usłyszała zgrzytanie zegara i pierwsze kukanie kukułki. Zapaliła świecę i weszła do pokoju jadalnego, którego okno wychodziło w stronę domu „trzydziestu djabłów“. Widocznie los nie chciał, aby zaspała rozmowę z Bolesławem. Zegar wskazywał dwunastą. Kukułka powoli głosem zachrypniętym kukała już po raz jedenasty. Zbliżyła się do okna. Naprzeciwko w oknie starego niezamieszkałego domu „trzydziestu djabłów“ widać było nikłe światełko. Weronika uczuła strach, jednak (była słowną i uczciwą panną) gdy kukułka wykukała dwunastą godzinę, otworzyła okno. Natychmiast otworzyło się także okno naprzeciwko i ukazała się w niem sylwetka djabła mikulaskiego.

— „Weroniko“ rozległ się niezbyt głośny, lecz wyraźny głos Bolesława: „Weroniko kochana, to ja — Bolesław, kochający cię z całego serca. Weroniko, czy kochasz mnie jeszcze?“

— „Kocham“ musiała odrzec Weronika, nie mogąc ukryć uczucia i w sercu czuła dreszcz szczęścia. Od tej chwili nie słyszała nic prócz drogiego i kochanego głosu Bolesława. A on mówił:

— „Weroniko, ukochana moja Weroniko, jak ci upłynęły te lata, od chwili, gdy nas zły los rozdzielił? Jak się ma twój szanowny rodzic? Czy mnie pamiętasz jeszcze? Weroniko, powiedz twemu rodzicowi, że to ja ograłem dziś doktora Wurcla, powiedz mu, że ja dałem mu wczoraj w kawiarni mata w pięciu posunięciach. Powiedz mu, że zostałem dobrym szachistą, że zostałem świetnym matematykiem; powiedz mu, że ja zbudowałem automat, grający w szachy, i ja nim kieruję, powiedz mu, że zostałem godnym człowiekiem, zostałem godnym twej ręki. Powiedz mu to wszystko, kochana Weroniko i powiedz mi przedewszystkiem, że mnie kochasz!“

— „Pocóż mówić?“ — rozległ się nagle głos doktora Nagiego za plecami Weroniki: „słyszałem wszystko i widziałem, i jeżeli wszystko jest tak, jak ty mówisz, kochany Bolesławie i jeżeli przedstawisz mi dowody, to przyjdź jutro do nas, a obmyślimy, co robić dalej. A teraz, kochana Weroniko, idź spać, a ty także Bolesławie, dosyć już straszyłeś w tym starym domu“.

Weronika krzyknęła i upadła na ręce ojca.

Czy potrzeba mówić o tem, że nazajutrz stał się ostatni cud z serji cudów, które się wydarzyły 5-go i 6-go grudnia 183... roku, w starem mieście Pradze? Czy potrzeba mówić o tem, jak doktór Nagi, wbrew swym ustalonym zapatrywaniom, wstrząśnięty nieszczęściem, które spadło na jego przyjaciela, doktora Wurcla, uznał młodego i niebogatego Bolesława za człowieka godnego, by zostać narzeczonym jego córki?

I czy potrzeba wreszcie mówić o tem, że nieszczęśliwy doktór Wurcel aż do śmierci, która przyszła po niego po dziesięciu latach, choć się pozbył kaftana bezpieczeństwa, chodził zawsze, jak koń szachowy — dwa kroki naprzód i jeden w bok, dwa kroki naprzód i jeden w bok?

Zdaje mi się, że nie potrzeba.

Z rosyjskiego **W. Jastrzębski.**

KONIEC.

Gimnastyka umysłowa

Odpowiedzi na pytania z numeru 37 „Prawdy".

1) Nazwa Ameryki pochodzi od włocha **Amerigo Vespucci,** który pierwszy sporządził mapę nowoodkrytej części świata.

2) Słowo „spleen" oznaczało początkowo 6w „Weltschmerz", który był w modzie i do dobrego tonu należał w początku 19-go stulecia. Dopiero w nowszych czasach słowo to oznacza rodzaj lekkiego i nieszkodliwego maniactwa.

3) Podanie o Don Juanie bierze swój początek od postaci historycznej — od Don Juan Tenorio, który żył w 14-ym wieku.

4) „Znakiem wodnym" nazywamy miejsca cieńsze i przeświecające w papierze, widoczne pod światło i przedstawiające albo napisy, albo inicjały, albo postacie ludzi lub zwierząt. Znaki wodne powstają przez położenie odpowiedniej formy, wyciętej z blachy na sicie, na którem rozprowadza się masę papierową.

5) Określenie „czerwona nitka" pochodzi od marynarki wojennej angielskiej. Do każdej liny na okręcie wojennym angielskim wpleciona jest czerwona nić, jako znak angielskiej własności koronnej.

6) Molier nazywał się Jean Baptiste Poquelin, nazwisko Voltaire'a brzmiało Arouet.

7) Pierwsze pieniądze inflacyjne pojawiły się w czasie rewolucji francuskiej. Asygnaty rewolucyjne spadły do czterytysiącznej części ich nominalnej wartości.

8) Prototyp oznacza prawzór, albo pierwowzór.

9) „Autodafé" nazywano pierwotnie ceremonjał publicznego ogłaszania wyroku przez hiszpańskie trybunały inkwizycyjne. Później poczęto tak nazywać wykonanie wyroku inkwizycyjnego.

10) Lampa naftowa wynaleziona została w Ameryce w roku 1855.

11) Osobą prawną nie musi być zawsze osoba w ścisłem tego słowa znaczeniu. Osobą prawną może być także korporacja, związek itp., o ile został należycie zarejestrowany i posiada prawo posiadania majątku.

12) „Atawizm" oznacza pojawienie się jakichś właściwości fizycznych lub umysłowych, które posiadał kiedyś jakiś przodek (atavus), a które następnie przez wiele pokoleń nie powracały. W potocznem znaczeniu atawizm oznacza pojawienie się jakichś cech zwierzęcych u człowieka.

13) Bakcyla suchot odkrył Robert Koch.

14) Śpiew gregorjański jest pierwotnym śpiewem liturgicznym w kościele katolickim. Ustanowił go papież Grzegorz I.

15) Mila morska liczy 1852 metrów.

16) Monna Lisa w paryskiem muzeum Louvre.

17) Pieprz rośnie w okolicach podzwrotnikowych Ameryki, w Indjach wschodnich i na wyspach archipelagu malajskiego. Wysłany „tam, gdzie pieprz rośnie" — ma przeto dość duży wybór.

18) Chrabąszcz majowy potrzebuje czterech lat, aby się rozwinąć.

19) Pierwowzorem Robinsona Kruzoe był majtek szkocki Aleksander Selkirk, który żył samotnie przez cztery lata na małej wysepce Oceanu Spokojnego, jako rozbitek.

20) Pieniądze papierowe znane są w Europie od 1716 roku. Twórcą pieniądza papierowego był John Law, syn szkockiego bankiera, który pierwszy wskazywał na konieczność zastąpienia złota papierem. Plany jego wszędzie odrzucano i wyśmiewano. Dopiero regent francuski w roku 1716 udzielił mu zezwolenia na puszczenie w obieg pierwszych pieniędzy papierowych.

21) „Papier czerpany" jest papierem sporządzanym ręcznie. Ręką „czerpie" się masę papierową z kadzi i rozprowadza się ją na sicie, na którem ocieka z wody i tężeje na papier.

22) Gęsi uratowały kapitol w roku 390 przed Chr. gdy do miasta wtargnęli gallowie i w nocy chcieli wedrzeć się na kapitol. Gęsi, poświęcone bogini Juno, zwietrzyły wroga i gęganiem obudziły byłego konsula Manliusa, który zdążył jeszcze zorganizować obronę kapitolu.

23) „Pleonazmem" nazywamy podwójne określanie tego samego pojęcia. N. P. „stary starzec".

24) Nauka empiryczna jest nauką opartą na doświadczeniu i wywodzącą się z doświadczenia.

25) **Klanem** nazywa się związek szczepowy. Klany rozpowszechnione były bardzo w Szkocji, zwłaszcza w okolicach górzystych. Rodziny, spowinowacone ze sobą węzłami pokrewieństwa tworzyły klan, posiadający swoją organizację, a często także sądownictwo. Obecnie wyrazu tego używa się w przenośni na określenie kliki rodzinnej.

Dziwolągi i błędy językowe

„Wszechświat", dwutygodnik przyrodniczy zostaje **odnowiony** i Nr. 1 ukaże się w październiku r. b. (Informator szkolny i biurowy z dnia 15 sierpnia r. b. Nr. 7). Zamiast „odnowiony" winno być „wznowiony".

*

Minimizm ten, który uważa się za **wykwint** umysłowości politycznej...

O. Weiss powtarza to, **co było św. Tomaszowi z Akwinu poprostu czemś wieczystem...**

Każdego polaka chwyta za serce, gdyż **przekonuje się...**

(„Wiara i czyn" — A 12).

Winno być: **wykwit, co było dla** św. Tomasza z Akwinu czemś wieczystem, **przekonywa się.**

*

Depozyt **winkulowany** (wyraz używany w Małopolsce w instytucjach bankowych) — depozyt związany, t. j. taki, którego bez wykonania pewnych warunków odebrać nie można.

*

Spelunka, wyraz używany w prasie galicyjskiej (u nas rzadziej) zamiast: jaskinia.

Jest to wyraz pochodzenia greckiego.

*

W Nr. 421 „Głosu Prawdy" w artykule „Przegrana i dalsza walka" czytamy: ...„budowniczy, który **wykonuje** jakieś zlecenie... zamiast wykonywa.

Szukać za kim, zamiasta szukać kogo.

Śledzić za kim, zamiast śledzić kogo.

Zawiniony. Zawinić jest słowem czynnem, nieprzechodnem i nie może mieć imiesłowu tej formy, podobnie jak „zbluźniony", zgrzeszony" i t. d.

Inwigilacja — barbaryzm, tak często używany i nadużywany w prasie naszej. Wyraz ten pochodzi od łacińskiego „vigilation", co oznacza: baczenie, baczność, czujność.

Auspicje — wyraz łaciński „auspicium", który doskonale zastąpić można naszemi: wróżba, wieszczba, wieszczenie.

Stawiać wysokie wymagania do siebie, do społeczeństwa — zamiast stawiać sobie, społeczeństwu wysokie wymagania.

A teraz próbka zachwaszczenia języka naszego wyrazami cudzoziemskiemi, niezrozumiałemi dla przeciętnego czytelnika. („Głos Prawdy" z dnia 28 b. m. — koniec artykuliku, poświęconego krakowskiej „Zwrotnicy"):

„I jakkolwiek możnaby „Zwrotnicy" zarzucić wspomnianą już **apodyktyczność** tonu, czy **aforystyczność** nie zawsze tłumaczącej się opinji, należy podkreślić rzecz rzadką w naszych stosunkach literackich, mianowicie wszelki brak **kompromisowej interesowności** czy handlowo **kalkulującej** się **neutralności,** odwaga w określaniu stanowiska i uczciwy wysiłek obrony przyjętej postawy.

A. H.

NOWE PYTANIA.

1. Co to jest „habeas corpus"?
2. Od czego pochodzi nazwa „hakata?
3. Co to jest hospitant?
4. Kto i kiedy ułożył polski hymn narodowy?
5. Co to jest ideologja?
6. Co to jest irredenta i skąd pochodzi to słowo?
7. Skąd pochodzi nazwa John Bull i co oznacza?
8. Co oznacza i skąd pochodzi wyraz „snobizm"?
9. Co to jest ochlokracja?
10. Co to jest pajdokracja?
11. Co to jest puszka Pandory?
12. Kto to byli encyklopedyści?
13. Jaka jest różnica między bilansem handlowym a bilansem płatniczym?
14. Co to jest strejk a co lokaut?
15. Jakie ordery mamy w Polsce?
16. Kiedy został ustanowiony order Virtuti Militari?
17. Co to jest ordynacja a co majorat?
18. Co oznacza wyraz „panama" i dlaczego?
19. Co to jest pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze?
20. Co to jest wirylista?
21. Co to jest retorsja?
22. W jakich sprawach orzeka trzybunał kompetencyjny?
23. Co to jest „sława Herostreta"?
24. Co oznacza słowo „ homoseksualizm" i skąd pochodzi?
25. Co to są antypodzi?

WSCHODZĄCE GWIAZDY FILMOWE

Renee Adoree znana z głośnego obrazu „Wielka Parada" w którym odtworzyła główną rolę kobiecą — rolę wiejskiej dziewczyny francuskiej, która poznała w zawierusze wojennei i pokochała żołnierza amerykańskiego.



Odtworzeniem tej roli młodziutka ta artystka, córka błazna wędrownego cyrku belgijskiego i sama od dzieciństwa zmuszona pracować na arenie wędrownego cyrku — wybiła się na pierwsze miejsce między „gwiazdami" dramatycznemi filmu. W filmie „Mandaryn Wu", który w tym roku wykonany został w Ameryce i który ma być podobno najlepszym filmem tegorocznej produkcji amerykańskiej, artystka ta odtwarza również główną rolę.



Lon Chaney. genjalny mimik, człowiek posiadający tysiąc twarzy, niezapomniany Quasimodo z obrazu „Notre Dame de Paris" i grozę budzący „Upiór opery paryskiej" odtworzył główne role w kilku niesamowitych filmach, które wyświetlane będą w nadchodzącym sezonie.



Benjamin Christensen, reżyser i autor scenarjuszy filmowych, jeden z głównych kierowników artystycznych olbrzymiego amerykańskiego przedsiębiorstwa filmowego Metro-Goldwyn-Mayer.



Jemes Murray. jeden z najbardziej popularnych artystów filmowych w Hollywood.



Joan Crawford, dotychczas mniej znana artystka, którą podobno okazała się wybitnie utalentowaną i po mistrzowsku odtworzyła kilka poważnieiszych ról w tegorocznych filmach.



Sally O'Neill. I ta artystka zdobyła sobie nazwisko dopiero niedawno i oczekuje sławy po wyświetleniu na ekranach świata tegorocznej produkcji filmowej Ameryki.

WYDZIAŁ REJESTRU HANDLOWEGO

SĄDU OKRĘGOWEGO W ŁODZI

Do Rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 11338/A. **„Calel i Szmul Frajndowie".** Skład przyborów fotograficznych „Amator". Firma istnieje od 21 czerwca 1927 roku, Łódź, Piotrkowska 114. Właściciele: Calel i Szmul-Josek Frajnd, zamieszkali w Łodzi: przy ulicy Piotrkowskiej 114. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Wszelkie robowiązania spółki, akcepty, żyra i t. d. podpisuje jeden ze wspólników. Do podpisywania korespondencji, odbioru należności, korespondencji poleconej i wartościowej oraz przekazów pocztowych i przesyłek, jak również do udzielania substytucji obrońcom upoważniony jest kady ze wspólników samodzielnie pod pieczątką firmową. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 11339/A. **„Dawid Kon i S-ka".** Prowadzenie fabrykacji wyrobów manufakturowych oraz handlu surowcami. Firma istnieje od 1 lipca 1927 roku, Łódź, Południowa 24. Właściciele: Natan Grynberg, Konstantynowska 37a i Dawid Kon, Południowa 24, obaj w Łodzi zamieszkali. Prokurentem firmy jest Abram Grynberg, Łódź, Nowo-Targowa 14, który ma prawo łącznego i kolektywnego podpisu z którymkolwiek wspólnikiem. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd spółką należy do obu wspólników. Prawo do podpisywania weksli, żyr, zobowiązań, umów wszelkiego rodzaju, czeków bankowych, prokur i pełnomocnictw oraz odboiru pieniędzy z towarzystw asekuracyjnych przysługuje tylko łącznie obydwum wspólnikom względnie jednemu z nich, lecz i nie inaczej, jak łącznie z prokurentem pod stemplem firmowym. Każdy zaś ze wspólników upoważniony jest do samodzielnego podpisywania również pod stemplem firmy korespondencji, do odbierania pieniędzy, korespondencji zwykłej, poleconej, telegraficznej i pieniężnej, towarów i ładunków oraz do wydawania pełnomocnictw adwokatom. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między Grynbergiem i żoną jego wyłączność majątku i wspólność dorobku. Pozostały wspólnik intercyzy nie zawarł.

Nr. 11340/A. **„Dawid I. Pasternak i S-ka".** Wytwórnia wyrobów trykotowo-dzianych. Firma istnieje od 26 lipca 1927 roku, Łódź, Piotrkowska 110. Właściciele: Dawid-Joel Pasternak, Chaim Pasternak i Moszek-Lejb Gutman, zamieszkali w Warszawie: pierwsi dwaj przy ulicy Św. Jerskiej Nr. 34, a trzeci przy ulicy Twardej 3. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 1 kwietnia 1929 roku z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do wszystkich wspólników. Wszelkie bez wyjątku zobowiązania w imieniu spółki podpisują pod stemplem firmowym dwuch wspólników łącznie z zastrzeżeniem, że jednym z tych dwuch podpisów winien być zawsze podpis Moszka-Lejba Gutmana. Poza zobowiązaniami każdy ze wspólników ma prawo podpisywać korespondencję, otrzymywać należności, towary, ładunki, posyłki, korespondencję spółki i pieniądze oraz prowadzić osobiście lub przez upoważnionego przez siebie adwokata wszelkie sprawy spółki. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 11341/A. **„L. I. Matecki i M. Gurwicz".** Fabrykacja i sprzedaż wyrobów pluszowych i włókienniczych. Firma istnieje od 1 sierpnia 1927 r., Łódź, Piotrkowska 82. Właściciele: Lejba-Iser Matecki i Mojsiej Gurwicz, zamieszkali w Łodzi: pierwszy przy ulicy Andrzeja 48, a drugi przy ulicy Gdańskiej 11. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został na trzy lata z automatycznem rocznem przedłużaniem. Akty notarjalne i hipoteczne, weksle, żyra na wekslach i wszelkie wogóle zobowiązania spółki podpisują pod stemplem firmy obaj wspólnicy. Korespondencję handlową, pełnomocnictwa sądowe podpisuje każdy ze wspólników samodzielnie i każdy z nich ma prawo odbierać korespondencję, przekazy pieniężne, przesyłki i towary oraz prowadzić sprawy sądowe. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 11342A. **„M. Michalak i F. Jaranowski".** Sklep spożywczy. Firma istnieje od 20 sierpnia 1927 roku, Łódź, Traugutta 1. Właściciele: Marja Michalak i Franciszek Jaranowski, zamieszkali w Łodzi: pierwsza, przy ulicy Kilińskiego 79, a drugi przy ul. 6-go Sierpnia 40. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd spółką należy do Franciszka Jaranowskiego. Zobowiązania podpisują obaj wspólnicy. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

OGŁOSZENIE Nr. 22.

Nr. 58/A. **„Gopalana, właścicielka Julja Iwińska"** w Łodzi, Dzielna 2. Firma została zlikwidowana.

Nr. 209/A. **„R. Pfeiffer"** w Łodzi, Nawrot 13. Decyzją Sądu Okręgowego — Wydział Handlowy — z dnia 9 czerwca 1927 roku nad firmą ustanowiony został nadzór sądowy na przeciąg sześciu miesięcy i nadzorcą sądowym mianowany jest adwokat Daniel Forelle.

Nr. 780/A. **„I. M. Gutter"** w Łodzi, Nowomiejska 30. Firma obecnie brzmi: „Winopol, właściciel Icek Majer Gutter".

Nr. 2063/A. **„Herc Grünberg"**, ul. Sienkiewicza Nr. 72 w Łodzi. Fabryka obecnie mieści się przy ulicy Zachodniej 70 w Łodzi. Prokura udzielona Abramowi Waldmanowi i Dawidowi Jasinowskiemu cofnięta. Natomiast na mocy aktu zeznanego przed notarjuszem Rossmanem w Łodzi dnia 8 sierpnia 1927 roku Nr. Rep. 3890 udzielona została prokura łączna czyli kolektywna Abramowi Waldmanowi, zam. w Łodzi, ul. 6-go Sierpnia Nr. 32 i Marji Lewinównie, zam w Łodzi, ul. Nowo-Targowa 14, którzy upoważnieni są do wykonywania w imieniu właściciela przedsiębiorstwa wszelkiego rodzaju czynności handlowych, sądowych i pozasądowych z prawem podpisywanie firmy „per procura".

Nr. 2217/A. **„Flora", dzierżawca Bernard Baumgart"** w Łodzi, Zawadzka 22. Firma została zlikwidowana.

Nr. 2240/A. **„Henryk Stein"** w Łodzi, ul. Leszno Nr. 45. Ogłoszona firmie upadłość została zatwierdzona układem pojednawczym.

Nr. 2347/A. **„Rudolf Kinzler i S-ka"** w Łodzi, Długa 78/80. Firma obecnie brzmi: „Rudolf Kinzler i S-ka„ spółka komandytowa". Wspólnikiem komandytowym jest Szyja Rotberg, zam. w Łodzi, przy ul. Wschodniej 74. „Rudolf Kinzler i S-ka", spółka komandytowa" w Łodzi, Długa 78/80. Zarząd sprawami spółki należy do wspólników Rudolfa Kinzlera i Salomona Rotberga. Weksle, żyra, plenipotencje i wszelkie zobowiązania w imieniu firmy winny być podpisywane przez tychże Rudolfa Kinzlera i Salomona Rotberga łącznie.

Nr. 2750/A. **„Józef Babad"** w Łodzi, Wólczańska 239. Hirszowi Dobkinowi w Łodzi, ul. Sienkiewicza 9 i Hugonowi Szyndlerowi, zam. w Łodzi, przy ulicy Leszno 47 udzielono pełnomocnictwa na mocy aktu z dnia 6 sierpnia 1927 roku Nr. 9506 zeznanego przed notarjuszem Kablem w Łodzi. Pełnomocnicy mają prawo łącznego żyrowania weksli na zlecenie Banku Polskiego i podejmowanie z tegoż Banku wszelkich sum z powyższego tytułu oraz kwitowania z odbioru.

Nr. 2815/A. **„Bracia Herman i S-ka, spółka komandytowa"** w Łodzi, Wólczańska 23. Na mocy aktu z dnia 11 sierpnia 1927 r. Nr. R. 1847, zeznanego przed notarjuszem Kornem w Łodzi, udzielono prokury Józefowi-Stanisławowi Hendlerowi (Łódź, Zawadzka 30), który ma prawo podpisu umów weksli, zobowiązań i aktów notarjalnych łącznie z Hermanem Aurbachem i samodzielnie czeków, żyr, przekazów i korespondencji oraz odbioru sum należnych spółce.

Nr. 2853/A. **„Szlama-Aron Kenigsberg"** w Łodzi, Zielona 7. Firma obecnie brzmi: „Szlama-Aron Kenigsberg, Spadkobiercy". Szlama-Aron Kenigsberg zmarł. Spadkobiercami są: wdowa Chana Kenigsberg (Zielona 5/7), Ita Fajnmesser (Narutowicza 36), Ryfka Bodzechowska (Piotrkowska 199), Jachet Grodzieńska (Piotrkowska 174), Ela Fein (Piotrkowska 5), Frymet Kenigsberg (Zielona 5), Abram-Jechiel Kenigsberg (Zielona 5), Fiszel Kenigsberg (Zielona 5), Mojżesz Kenigsberg (Gdańsk) i usamowolniona Chawa Kenigsberg (Zielona 5), wszyscy oprócz Mojżesza Kenigsberga w Łodzi. Zarządcami przedsiębiorstwa są: Chana Kenigsberg i Józef Bodzechowski, którzy podpisują wszelkie zobowiązania pod stemplem firmy łącznie.

Nr. 4000/A. **„Moszczenicka Manufaktura Teodor Ender Spadkobiercy"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 143. Współwłaścicielami firmy są: Teodor i Karol Ender i Irena Kinderman z domu Ender, zamieszkali w Pabjanicach. Do zarządzania firmą upoważnieni są: Teodor i Karol Ender i Arno Kinderman z prawem samodzielnego podpisywania. Prokurentamami są: Paweł Petzold i Alfred Guse.

Nr. 5655/A. **„Pantyl i Pytowski"** z siedzibą w Łodzi, Łomżyńska 8. Na mocy aktu zeznanego przed notarjuszem Janem Krzemieniewskim w Łodzi dnia 18 sierpnia 1927 roku Nr. Rep. 3916 wspólnik Izydor Pantyl, zam. w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej 152 upoważniony jest, poczynając od dnia 18-go sierpnia 1927 roku do dnia 20-go listopada 1927 roku do samodzielnego bez ograniczenia, zarządzania wszystkiemi interesami i sprawami firmy wogóle, w szczególności zaś do podpisywania w imieniu firmy czeków, przekazów i indosowania (żyrowania weksli w celu dyskontowania takowych.

Nr. 5958/A. **„Herszkowicz, Gliksman i Brün, wł. Gliksman i Brün"** z siedzibą w Łodzi, Nowomiejska Nr. 21. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi — Wydział Handlowy — z dnia 20 czerwca 1927 roku firmie ogłoszona została upadłość i kuratorem upadłości mianowany jest apl. adw. Szczepan Mazurowski.

Nr. 5712/A. **„B. Heiman i A. Lewitin"** z siedzibą w Łodzi, ul. 6-go Sierpnia 21. Firma obecnie brzmi: „Bernard Heiman". Bernard Heiman, zamieszkały przy ulicy Gdańskiej 77 w Łodzi. Na mocy aktu zeznanego przed notarjuszem Juljanem Rzymowskim w Łodzi Nr. R. 1994 z dnia 6 kwietnia 1927 r. wspólnik Ajzyk Lewitin ze spółki wystąpił cedując wszystkie swoje prawa na rzecz pozostałego wspólnika Bernarda Hejmana z dniem 6-go kwietnia 1927 roku. Bernard Heiman intercyzy nie zawarł.

Nr. 5968/A. **„Zjednoczone fabryki włókiennicze i pończosznicze G. Mazo i A. Wolsi"** z siedzibą w Łodzi, Wschodnia 76. Decyzją Sądu Okręgowego w Łodzi — Wydział Handlowy — z dnia 11 lipca 1927 roku nad firmą ustanowiony został nadzór sądowy na przeciąg sześciu miesięcy i nadzorcami sądowymi mianowani są adwokat Edward Filipkowski i Benjamin Szac, zam. w Łodzi, przy ulicy Kilińskiego Nr. 48.

Nr. 7135/A. **„Dom Handlowo-Przemysłowy Eli Liskier, Abugow i Sapir"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska Nr. 65. Firma obecnie brzmi: Dom Handlowo-Przemysłowy Eli Liskier Sukcesorowie, M. Sapir i S-ka. Mendel Abugow ze spółki wystąpił z dniem 13 lipca 1927 roku. Do spółki przyjęty został Hil vel Henryk Grynfeld, zam. w Łodzi, przy ulicy Zawadzkiej Nr. 34 i sukcesorowie. Zarząd spółki obecnie stanowią wspólnicy Mowsza Sapir i Hil vel Henryk Grynfeld. Weksle własne firmy i prokury winny być podpisywane przez obydwuch zarządców pod stemplem firmy. Wszelkie zaś umowy kupna i sprzedaży, zobowiązania, plenipotencje, żyra na wekslach, czeki mocen jest podpisywać każdy z zarządców samodzielnie pod stemplem firmy, jak również każdy z nich ma prawo samodzielnie inkasować należne firmie sumy i kwitować z odbioru wszelkiej korespondencji, dokumentów wartościowych, towarów, przesyłek. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 7150/A. **Berek-Majlech Baum"** z siedzibą w Łodzi, Kościelna 6. Siedzibą firmy obecnie jest Plac Kościelny 6 w Łodzi. Właściciel firmy zam. obecnie przy ulicy Nowomiejskiej 19.

Nr. 7391/A. **„Dom Handlowo-Przemysłowy Dr. Józef Sachs"** z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 77. Firma obecnie brzmi: „Biuro Komisowo-Handlowe Dr. Józef Sachs". Siedzibą firmy obecnie jest ulica Piotrkowska 85. Prokurentem firmy jest Tadeusz Sachs, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej 85.

Nr. 9340/A. **„Maurycy Przygórski"** z siedzibą w Łodzi, Gdańska 138 — wyrób i Nowomiejska 3 — kantor. Siedzibą firmy obecnie jest: Kantor przy ulicy Piotrkowskiej 49 i fabryka przy ulicy Pomorskiej 73 w Łodzi.

RADA NADZORCZA

Spółki Akcyjnej Wyrobów Bawełnianych I. K. Poznańskiego w Łodzi

podaje do wiadomości, że

ZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE AKCJONARJUSZÓW

odbędzie się w dniu 14 października 1927 roku o godzinie 16-ej w lokalu tejże Spółki Akcyjnej w Łodzi, przy ulicy Ogrodowej 17 z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie Walnego Zgromadzenia i wybór przewodniczącego.
2. Sprawozdanie Zarządu oraz Komisji Rewizyjnej.
3. Zmiana § 58 Statutu.
4. Reasumcja uchwały Walnego Zgromadzenia z dnia 29.XI. 1926 roku, dotyczącej podziału zysku za 1925 rok i odpisanie takowego na amortyzację.
5. Rozpatrzenie i zatwierdzenie bilansu za 1926 rok.
6. Podział zysków.
7. Wybór członków Rady Nadzorczej i Komisji Rewizyjnej.
8. Określenie i zatwierdzenie wynagrodzenia członków Rady Nadzorczej, Komitetu Wykonawczego i Komisji Rewizyjnej.
9. Wnioski Rady Nadzorczej.
10. Wnioski akcjonarjuszów, które w myśl § 59 Statutu winne być zgłoszone Radzie Nadzorczej na 7 dni przed terminem Walnego Zgromadzenia.

Zgodnie z § 55 Statutu akcjonarjusze, pragnący uczestniczyć w tem Walnem Zgromadzeniu winni nie później niż na 7 dni przed terminem Walnego Zgromadzenia złożyć swoje akcje w oryginale na ręce Zarządu Spółki w Łodzi lub przedstawić zaświadczenie na dowód przyjęcia ich akcyj na przechowanie lub pod zastaw w instytucjach państwowych jak i prywatno-kredytowych, działających na mocy statutu przez rząd zatwierdzonego.

Jeżeli zwoływane niniejszem Walne Zgromadzenie nie dojdzie do skutku w podanym terminie z powodów przewidzianych w § 57 Statutu, lub jeżeli na tem Walnem Zgromadzeniu nie dojdzie do powzięcia prawomocnych uchwał (§ 58 Statutu), to wyznacza się drugi termin Walnego Zgromadzenia na dzień 28 października 1927 roku, o godzinie 16-ej w tym samym lokalu i z tym samym porządkiem dziennym, przyczem zaznacza się, że zgodnie z postanowieniami §§ 57 i 58 Statutu Walne Zgromadzenie w tym powtórnym terminie będzie prawomocne bez względu na ilość akcyj reprezentowanych na Walnem Zgromadzeniu, zaś uchwały tegoż Walnego Zgromadzenia będą prawomocne, jeżeli zapadną zwykłą większością głosów.

—148—

OGŁOSZENIE.

Do akt. Nr. 707-1927 r. **KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI,** Stanisław Dulkowski, zam w Łodzi, przy ulicy Gdańskiej 6, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 14 października 1927 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Aleje 1-go Maja pod Nr. 41 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Abrama Pinkusa i składających się z mebli, ocenionych na sumę 605 złotych. Łódź, dnia 6 września 1927 roku. Komornik Stanisław Dulkowski.

OBWIESZCZENIE.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi, na powiat brzeziński, Wacław Walter, w mieście Brzezinach zamieszkały, obwieszcza, że na żądanie Banku Handlowego w Łodzi odbędzie się w dniu 4 listopada 1927 roku od godziny 10-ej rano w sali posiedzeń Sądu Okręgowego w Łodzi, przy ulicy Żeromskiego Nr. 115, publiczna sprzedaż przez licytację majątku nieruchomego w mieście Strykowie, przy ulicy Nowy Rynek 50, w powiecie brzezińskim, w Województwie Łódzkiem położonego i składającego się z prawej strony placu, zapisanego do tabeli likw. pod Nr. 147, wraz z zabudowaniami: 1) prawą połową domu mieszkalnego, 2) oficyna z drzewa, 3) obory i ustępu, plac ten jest ograniczony z jednej strony nieruchomością — własnością Antoniego i Anny małż. Gałeckich, z drugiej — Moszka-Arona Lajba, oraz ulicą Pułsudskiego.

Nieruchomość zostaje wyznaczoną do sprzedaży za dług Wolfa Fassa, posiada zaprowadzoną księgę hipoteczną przechowywaną w Wydziale przy Sądzie Pokoju w Brzezinach, oznaczoną rep., hip. Nr. 92; stanowi własność w równych i niepodzielnych częściach Wolfa i Pessy-Racheli z Ajzykowiczów małż. Fassów; w dziale drugim jest zastrzeżone miejsce dla wniosku o tem, że Hersz-Mordka Chasman nabył od Wolfa Fassa jedną dziesiątą część praw współwłasności sprzedawanej nieruchomości; nieruchomość jest obciążona długami i ewikcjami hipotecznemi na sumę zł. 21,343 gr. 20, a także ostrzeżeniem wykazanym w dziale trzecim, w zastaw oddaną nie jest, podlega sprzedaży w całości podług opisu z dnia 17 grudnia 1926 roku; właścicielom sprzedawanej nieruchomości, a także sąsiedniej oznaczonej Nr. 50-b przysługuje prawo wspólnego użytkowania ściany na nieruchomości Nr. 50-b; korzystania z komina, podwórza, przejścia i przejazdu przez sień i bramę.

Licytacja rozpocznie się od sumy zł. 7500.—

Osoby zamierzające wziąć udział w licytacji winny będą złożyć kaucję w kwocie zł. 750.—

Komornik (—) WACŁAW WALTER.

Redakcja i administracja w Łodzi, ul. Piotrkowska 85, tel. 45-50
Oddział redakcji i administracji **w Warszawie,** Wilcza 16, tel. 305-07
„ „ „ **w Poznaniu,** Skarbowa 7, tel. 28-58

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 gr. za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 gr. za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 gr. za wyraz. Ogłoszenia w „Źródle Zakupu" 3 zł. za 2 wiersze, każdy następny wiersz 1zł.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 53527